Prawdziwa Historia

Lukian z Samosaty

Księga I

Podobnie jak atleci z fachu i ci, którzy pracują nad fizycznym rozwojem ciała, mają na względzie nie samo tylko pielęgnowanie zdrowia i ćwiczenia cielesne, ale także należyte wytchnienie, i uważają je za zasadniczą część swego zajęcia, tak, zdaniem moim, przydatną jest rzeczą dla ludzi pracujących duchowo po dłuższej i poważnej lekturze odświeżyć umysł i uczynić go sposobniejszym do dalszej pracy. Pod tym względem nic, jak myślę, nie jest tak odpowiednim, jak czytanie dzieł, które w formie uciesznej i powabnej podają nie samą tylko czczą zabawkę dla umysłu, ale także pożyteczną mają na celu naukę. Coś w tym rodzaju znajdzie, jak tuszę, czytelnik w niniejszym utworze. Nie tylko bowiem oryginalna treść i krotochwilne pomysły będą dlań przedstawiać urok, nie tylko to, że rozliczne kłamstwa serio, tonem prawdy skreśliłem, ale także i ta okoliczność, że w każdym z opowiadanych zdarzeń kryje się komiczna aluzja do niektórych starożytnych poetów, historyków i filozofów, co napletli mnóstwo cudownych bajek, a których bym nawet po nazwisku wymienił, gdyby nie to, że czytający sam ich wśród lektury odgadnie. Ktezjasz z Knidos, syn Ktesiocha, opowiada w dziele swoim o kraju Indów i jego osobliwościach rzeczy, których ani sam nie widział, ani od nikogo wiarygodnego nie słyszał. Toż i Jambulos popisał różne dziwaczne historie o krajach w wielkim morzu, namacalne kłamstwa; chociaż, przyznać muszę, treść wcale jest zabawna. Podobnie wielu innych opisało w tym samym guście rzekome tułaczki własne i podróże, w których bają o olbrzymich zwierzętach, dzikich ludziach i dziwacznych obyczajach[1]. Protoplastą ich i mistrzem w tego rodzaju bladze jest Homerowski Odyseusz, który opowiada Alkinoosowi i jego dworzanom o wiatrach w niewoli, o jednookich, ludożerczych i dzikich ludziach, o wielogłowych potworach, o przemienieniu swych towarzyszy za pomocą ziół w zwierzęta i o innych banialukach, którymi zawracał głowę prostodusznym Feakom. Czytając takie dzieła, nie brałem autorom za złe ich kłamstw, wiedząc, że nie są wolni od nich także ludzie, którzy udają, że się zajmują filozofią[2], tylko temu się dziwiłem, jak mogli przypuszczać, że czytelnicy nie poznają się na tych kłamstwach. Otóż i ja, nie mogąc się oprzeć chęci przekazania potomnym utworu tego rodzaju, a nie widząc powodu, dla którego by mnie jedynie nie miało być wolno zabawić się w bajarza, ponieważ nie mogę nic prawdziwego opowiedzieć — nic bowiem nadzwyczajnego w życiu mi się nie przydarzyło — jąłem się kłamstwa, o wiele atoli uczciwiej w tym względzie sobie postępując niż inni: jedną bowiem przynajmniej

powiem prawdę, oświadczając mianowicie, że będę kłamał. Tuszę sobie, że wyznając otwarcie, iż nie powiem ani słowa prawdy, uniknę także wszelkich w tej mierze zarzutów. Pisać tedy będę o rzeczach, których nie widziałem, które mi się nie przydarzyły, o których od nikogo nie słyszałem, ba, które w ogóle nie istnieją ani istnieć nie mogą. Dlatego też czytelnicy nie potrzebują w to, co powiem, wcale wierzyć.

* * *

Onego tedy czasu puściłem się u Słupów Heraklesa w podróż; dostawszy się na ocean zachodni płynąłem z pomyślnym wiatrem. Powodem i celem tej mojej wędrówki była ciekawość, żądza świeżych wrażeń oraz chęć dowiedzenia się, gdzie się kończy ocean i co za ludzie mieszkają po drugiej jego stronie. Zaopatrzyłem się więc w obfity zapas żywności, wziąłem z sobą pod dostatkiem słodkiej wody, przybrałem sobie do kompanii pięćdziesięciu druhów, podobnie myślących jak ja, przysposobiłem nadto sporo broni, zmówiłem sobie za hojną zapłatę nadzwyczaj zręcznego sternika i statek — był to rodzaj jachtu — kazałem ubezpieczyć tak, jak tego wymagała podróż długa i awanturnicza.

Płynęliśmy cały dzień i noc z pomyślnym wiatrem i dopókiśmy jeszcze przed oczyma — mieli ląd, okręt z wolna sunął po fali; nazajutrz atoli, równo ze świtem, począł się wiatr wzmagać, flukty się rozigrały, mrok osiadł w powietrzu — nawet żagla nie można już było zwinąć. Trzeba się więc było zdać na wolę wiatru; przez siedemdziesiąt dziewięć dni rzucała nami burza po morzu; osiemdziesiątego, gdy słoneczko zabłysło, spostrzegliśmy nie opodal wyspę wysoką, zalesioną, o którą bałwany morskie lekko się rozbijały, zwłaszcza że wiatr już się znacznie ustatkował. Przybiwszy do brzegu i

wysiadłszy na ląd, długo wypoczywaliśmy na ziemi po tylu biedach, a gdyśmy wreszcie powstali, wybraliśmy spomiędzy siebie trzydziestu, którzy mieli przy okręcie na straży zostać; dwudziestu miało mi towarzyszyć w głąb kraju, celem zbadania wyspy.

Zaledwośmy, pomykając lasem, uszli jakie trzy staje od brzegu, ujrzeliśmy spiżowy słup, a na nim napis w języku greckim (litery byty zatarte na pół i rdzą strawione) tej treści: „Dotąd dotarli Herakles i Dionizos”. W pobliżu na skale widać też było dwa ślady stóp, jeden

wielkości morgi, drugi mniejszy, mniejszy musiał należeć do Dionizosa, drugi zaś do Heraklesa3.

Ugiąwszy tedy kolana w hołdzie, puściliśmy się naprzód; ledwośmy atoli mały kawałek drogi uszli, stanęliśmy nad rzeką płynącą winem, nadzwyczaj podobnym do naszego z wyspy Chios. Nurt był tak głęboki i szeroki, że tu i ówdzie mógł nieść na swym grzbiecie statki. Oglądając te tak dowodne znaki pobytu Dionizosa, utwierdziliśmy się jeszcze mocniej w wierze w prawdziwość owego napisu na słupie. Przyszło mi do głowy zbadać, skąd ta rzeka wytryska; puściłem się więc jej brzegiem w górę, źródła atoli nie odnalazłem, a tylko mnóstwo okazałych winnych latorośli, pełnych gron. Przy korzeniu każdej tryskał zdrój jasnego wina i ze zdrojów tych tworzyła się rzeka. Widać też było w niej mnóstwo ryb, barwą i smakiem przypominających niezmiernie wino. Ułowiliśmy kilka, a kiedyśmy je spożyli, upiliśmy się co się zowie. Rozkrajawszy owe ryby przekonaliśmy się, że były pełne drożdżowego osadu. Później atoli wpadliśmy na taki koncept, żeby mieszać z tymi rybami zwyczajne wodne; skutek tej operacji był taki, że traciły zbytnią tęgość.

Przeprawiwszy się następnie w miejscu płytkim w bród przez ową rzekę natrafiliśmy na szczególnego rodzaju latorośle winne: dolna ich część przed stawiała się mianowicie jako pień gruby, z licznymi pędami, górna zaś jako niewiasty, aż po pas zupełnie prawidłowo rozwinięte. Tak wystawia u nas Dafne, zamieniającą się w drzewo, w chwili kiedy ją Apollon chce porwać w objęcia. Końce palców tych niewiast wydłużały się w gałęzie, obwieszone obficie gronami winnymi, z głów spływały zamiast włosów wąsy winorośli, liście i jagody. Kiedyśmy się do nich zbliżyli, poczęły witać się z nami i ściskać nas za ręce, szczebiocąc to po lidyjsku, to po indyjsku, przeważnie zaś po grecku.

Nie szczędziły nam też i całusów; kto jednak dostał buziaka, ten natychmiast czuł się pijany i zawracało mu się w głowie. Tylko owoców swoich nie pozwalały nam zrywać; kiedyśmy chcieli który uszczknąć, krzyczały w głos z bólu. Niektóre chciały także pobawić się z nami. Dwóch moich towarzyszy, którzy z nimi pobaraszkowali, nie mogło się już z ich objęć wyrwać: sromami spojeni, zrośli się z nimi i korzeniami spowili! Z palców strzeliły im gałązki, umajeni wąsami winorośli wyglądali tak, jakby już lada chwila owoce mieli wydać. Pozostawiwszy ich na pastwę losu powróciliśmy na statek i

opowiedzieliśmy pozostałym towarzyszom wszystko, co się nam przydarzyło.

Następnie wzięliśmy ze sobą kilka dzbanów, naczerpali w nie wody, a zarazem wina z rzeki, a spędziwszy noc nie opodal na brzegu, puściliśmy się rankiem przy łagodnym wietrze na morze. Około południa, gdyśmy już wyspę z oczu stracili, zerwał się nagle huragan, okręcił dookoła statek, uniósł w górę na jakie trzy tysiące staj i już nie spuścił na morze. Okręt zawisł w powietrzu; wiatr, wpadłszy między płótna i wydawszy żagiel, pędził naszą galerę. Po siedmiu dniach i tyluż nocach napowietrznej żeglugi spostrzegliśmy ósmego dnia w powietrzu jakąś ziemię, niby to wyspę błyszczącą, kulistą i potężnym światłem jaśniejącą. Przybiwszy do niej i zawinąwszy do portu, wyszliśmy na ląd, a rozglądając się po tej krainie przekonaliśmy się, że jest zamieszkana i uprawna. Za dnia nie mogliśmy nic rozeznać, ale kiedy noc zapadła, pokazało się oczom naszym mnóstwo innych wysp w pobliżu, to większych, to mniejszych, barwy ognistej, a w dole inna jakaś ziemia z miastami, rzekami, morzami, lasami i górami. Wnosiliśmy z tego, że to jest nasz glob.

Kiedyśmy zamierzali pociągnąć dalej, natknęliśmy się na tak zwanych tutaj Koniosępów, którzy nas przyaresztowali. Ci Koniosępowie są to mężе jeżdżący na olbrzymich sępach i zażywający tych ptaków niby koni; sępy, jak powiedziano, są olbrzymie i przeważnie trójgłowe. Jak zaś są wielkie, można wymiarkować z tego, że pierwsze lepsze ich pióro jest dłuższe i grubsze niż maszt wielkiego, ładownego okrętu4. Otóż wzmiankowani Koniosępowie małą nakazane latać dookoła tej ziemi i jeśliby przydybali jakiego cudzoziemca, przywieść go przed króla; toteż i nas przyaresztowali i zaprowadzili przed niego. Skoro nas zobaczył, ozwał się, miarkując widocznie po naszej powierzchowności i stroju, w te słowa: „Wędrowcy! Czy nie jesteście z Hellady?" — „Tak jest!" — powiadamy, a on rzecze: „W jakiż sposób dostaliście się tut aj? Jak przebyliście tak ogromny kawał napowietrznej drogi?" Opowiedzieliśmy mu, jak się rzecz miała, a wtedy i on począł nam prawić o swych dziejach, mianowicie że jest człowiekiem tak jak my, że się zowie Endymion, że onego czasu został wśród snu z naszej ziemi porwany i zamianowany królem tej krainy, że ona jest właśnie tą, która się nam, mieszkającym na ziemi naszej, przedstawia jako Księżyc. Wreszcie kazał nam być dobrej myśli i nie lękać się żadnego niebezpieczeństwa, zapewniając, że nie zbędzie nam u niego na niczym, czego tylko serce nasze zapragnie. „Skoro zaś — ciągnął dalej — szczęśliwie zakończę wojnę, którą teraz zamierzam wypowiedzieć mieszkańcom Słońca, będzie wam u mnie jak w raju". Zapytaliśmy go, co zacz są ci jego nieprzyjaciele i o co chodzi, a on rzekł:

„Faeton, król mieszkańców Słońca (trzeba wam bowiem

wiedzieć, że i Słońce, podobnie jak Księżyc, jest zamieszkane), od długiego już czasu jest naszym wrogiem. Powód zaś taki: Onego czasu zebrałem największych biedaków w moim państwie i chciałem ich jako osadników wysłać na Jutrzenkę, podówczas jeszcze pustą i nie zaludnioną. Zazdrosny Faeton nie chciał pozwolić na założenie osady i z hufcem Koniomrówczan zaszedł naszym drogę. Pokonani — nie byliśmy bowiem dostatecznie na ten napad przygotowani — musieliśmy wówczas ustąpić. Teraz atoli myślę po raz wtóry wojnę wypowiedzieć i osadników wysłać. Jeżeli tedy macie ochotę, to przyłączcie się, proszę, do tej wyprawy, a ja każdemu z was dostarczę ze stajni królewskich po jednym sępie i odpowiedni rynsztunek; jutro wymaszerujemy stąd". „Zgoda — rzekłem — skoro tak chcesz".

Na ten dzień zostaliśmy na uczcie u króla, nazajutrz zaś równo ze świtem powstaliśmy i sprawiliśmy szyki, gdyż czaty doniosły nam, iż nieprzyjaciel jest już niedaleko. Wojska naszego, nie wliczając czeladzi obozowej, miotaczy, lekkiej piechoty i cudzoziemskich pułków posiłkowych, było sto tysięcy, mianowicie osiemdziesiąt tysięcy Koniosępów i dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy jechali na Kapustnikach. Są to ogromne ptaki, pokryte na całym ciele zamiast piór kapustą, ze skrzydłami podobnymi nadzwyczaj do liści podbiału. Na skrzydłach stanęli Prosobije i Czosnkoboje. Przyszli nam też w pomoc sprzymierzeńcy z Wielkiej Niedźwiedzicy, mianowicie: trzydzieści tysięcy Pchłołuczników i pięćdziesiąt tysięcy Pędziwiatrów. Z tych Pchłołucznicy jeżdżą na olbrzymich pchłach, blisko dwanaście razy większych od słonia (skąd też i nazwę dzierżą), Pędziwiatry zaś jest to piechota, latająca w powietrzu, bez pomocy jednak skrzydeł. Urządzają się w tym celu w sposób następujący. Przywdziewają kaftany, sięgające do kostek; te wydęte powietrzem niosą ich niby okręty. W bitwie używają ich zwyczajnie jako peltastów. Krążyła pogłoska, że z gwiazd znad Kapadocji ma nadciągnąć siedemdziesiąt tysięcy Wróblożołędzian i pięćdziesiąt tysięcy Koniożurawian. Ani jednych, ani drugich nie widziałem z tej po prostu przyczyny, że nie przyszli. Stąd też nie miałem odwagi opisać, jak wyglądali, zwłaszcza że dziwaczne i nie zasługujące na wiarę historie o nich opowiadano. Tak się przedstawiała armia Endymiona. Uzbrojenie u wszystkich było jednakowe.

Hełmy mieli sporządzone z bobu, który tutaj jest nadzwyczaj wielki i gruby, pancerze łuskowate, z naszytych na siebie łusek łubinu (łupina łubinu jest tam twarda jak róg), tarcze i miecze mieli zupełnie takie jak greckie. Kiedy już wreszcie ostatnia nadeszła chwila, ustawiono wojsko do boju w następujący sposób. Prawe skrzydło zajęli Koniosępowie i król z zastępem doborowego żołnierza. W liczbie tych znajdowaliśmy się i my.

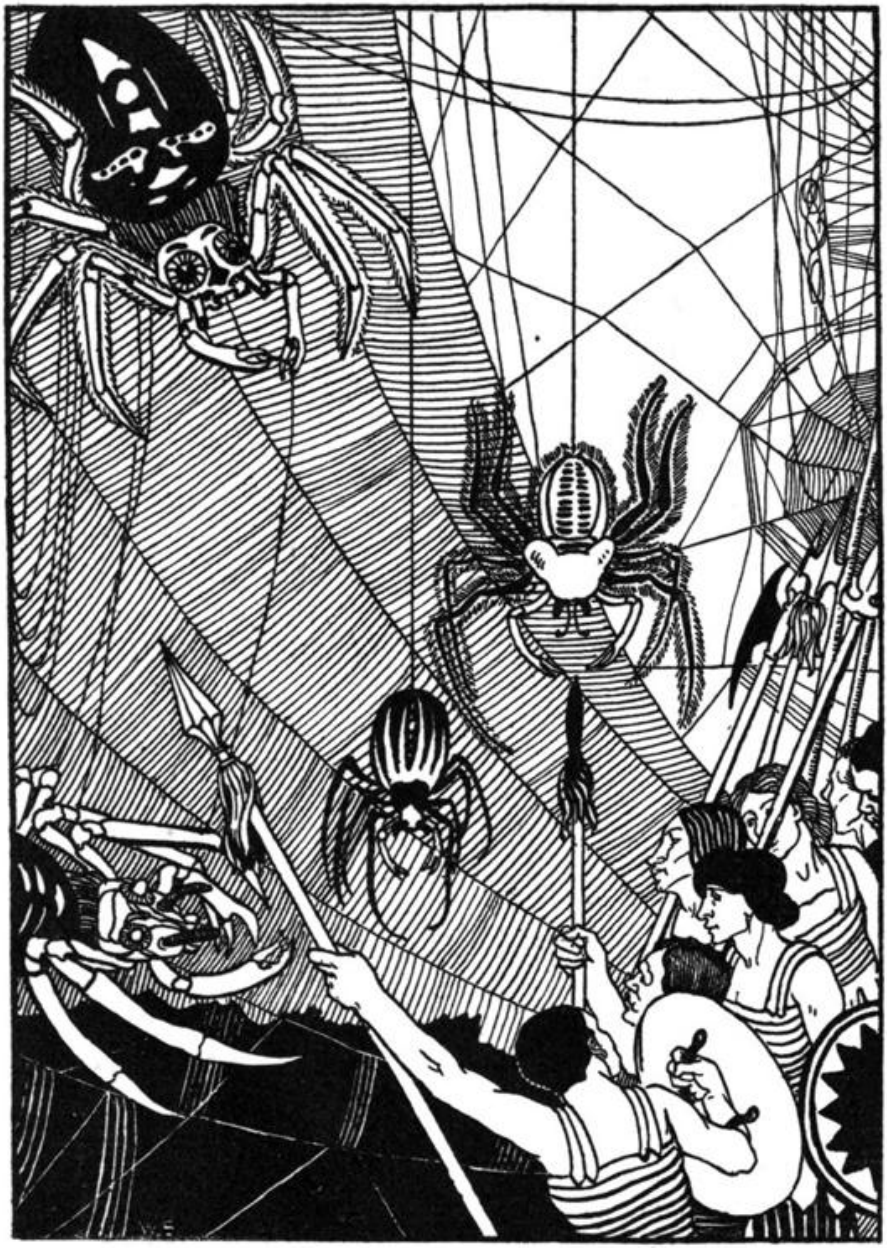

Na lewym skrzydle stanęli Kapustnicy, w środku zaś sprzymierzeni, w takich formacjach, jakie się im podobały. Piechoty było nieomal sześćdziesiąt milionów. Mamże powiedzieć, gdzie ją ustawiono? Otóż znajduje się na Księżycu mnóstwo olbrzymich pająków, z których każdy znacznie jest większy od jednej z Cyklad. Pająkom tym nakazano zasnuć pajęczyną całą przestrzeń między Księżycem a Jutrzenką. Skoro zadanie swoje spełniły i równinę sporządziły, ustawiono na niej, piechotę. Przewodził jej Czarniak, syn

Białasa, i dwaj inni dowódcy. Na lewym skrzydle armii nieprzyjacielskiej stał Faeton z Koniomrówczanami.

Są to zwierzęta ogromne, skrzydlate, zupełnie podobne do naszych mrówek, tylko że wielkością znacznie się od nich różnią, największa z nich bowiem zajmowała blisko dwa morgi przestrzeni. A walczyli nie tylko ci, co na nich siedzieli, ale i one także, a to rogami. Miało ich być koło pięćdziesięciu tysięcy. Prawe skrzydło tworzyli w liczbie niemal pięćdziesięciu tysięcy Powietrzokomarzanie, sami łucznicy, którzy jechali na niezmiernie wielkich komarach. Poza nimi

stanęli Rzodkwianie, lekkozbrojna, nadzwyczaj bitna piechota; wyrzucali oni z proc na znaczną odległość potężne rzodkwie. Kto taką rzodkwią został ugodzony, ten w tej chwili padał na miejscu, a z rany rozchodził się nieznośny smród. Podobno groty pocisków zapuszczali jadem ślazu. Za tymi stał dziesięciotysięczny hufiec Grzybołodyg, ciężkozbrojnych piechurów walczących z bliska. Grzybołodygami zwali się dlatego, że jako tarcz używali grzybów, a jako lanc łodyg szparagowych. Nie opodal mogłeś widzieć Psiożołędzian, w liczbie pięciu tysięcy, których Faetonawi na pomoc przysłali mieszkańcy Syriusza; byli to męże z twarzami psimi, walczących na skrzydlatych żołędziach. Mówiono, że nie stawili się z wojsk sprzymierzonych na czas procarze, których zawezwał Faeton z Drogi Mlecznej, i Chmurocentaurowie. Ci ostatni nadciągali jednak, ale kiedy już było po bitwie, i bodaj byli się nie pokazali! Natomiast procarze wcale się nie pojawili, z którego to powodu później rozgniewany Faeton, jak słychać było, ogniem kraj ich spustoszył. Z takimi tedy zastępami ciągnął przeciwko nam Faeton.

Skoro z obu stron, dając hasło do boju, zaryczały osły — tych bowiem używają tutaj za trębaczy — rzuciły się obie armie na siebie. Lewe skrzydło mieszkańców Słońca pierzchło natychmiast, nawet nie starłszy się wręcz z Koniosępami, a my puściliśmy się za nimi, zabijając, co się nam pod rękę nawinęło. Prawe natomiast skrzydło początkowo górę wzięło nad naszym lewym, a Powietrzokomarzanie zapuścili się w pogoni aż po naszą piechotę. Gdy atoli ta ruszyła z pomocą, podawszy tyły, czmychnęli, zwłaszcza że też zmiarkowali, iż lewe ich skrzydło zostało porażone. Pogrom był zupełny; mnóstwo ludu zabraliśmy do niewoli, mnóstwo też wymordowaliśmy, a krew tak obficie lała się po obłokach, że przesiąkły nią i wydawały się tak rumiane, jak u nas przy zachodzie słońca. Niemało jej też pociekło na ziemię, a to naprowadziło mię na myśl, czy też przypadkiem podobna, przed wiekami rozgrywająca się w górnych regionach scena nie dostarczyła Homerowi wątku do pomysłu, że Zeus z powodu śmierci Sarpedona krwawy deszcz spuścił na ziemię[5].

Zaniechawszy wreszcie pogoni, cofnęliśmy się i wznieśliśmy dwa trofeje zwycięskie: jeden na pajęczynie, na pamiątkę walki pieszej, drugi na obłokach, na pamiątkę walki napowietrznej. W chwili, kiedyśmy tym byli zajęci, doniosły nam placówki, że nadciągają Chmurocentaurowie, którzy mieli przed walką przybyć z pomocą Faetonowi. Niebawem przedstawił się oczom naszym oryginalny nadzwyczaj widok. Oto ciągnęły postacie, w połowie wyobrażające skrzydlate rumaki, w połowie ludzi; wielkość części człowieczej wynosiła tyle, co górna połowa Kolosu Rodyjskiego, wielkość części końskiej, co potężny okręt przewozowy. Liczby tych wojowników nie podaję, boby mi nikt nie uwierzył, gdybym ją podał

— tak była ogromna. Hetmanił tym zastępom Strzelec z Zodiaku. Skoro zobaczyli, że ich przyjaciół rozgromiono, wyprawili do Faetona gońca z zawezwaniem, aby natychmiast powrócił na plac boju, sami zaś sprawiwszy szyki wpadli na przerażonych mieszkańców Księżyca, którzy bezładnie rozbiegli się za nieprzyjacielem i za łupami, zmusili ich do ucieczki, króla gnali aż pod bramy miasta i masę jego ptaków pozabijali; wywrócili następnie trofeje, obiegli całą ową błoń, utkaną przez pająki, i zabrali do niewoli mnie i dwóch moich towarzyszy. Zjawił się wreszcie Faeton i wzniesiono nowe trofeje. Nas zapędzono tego samego dnia z rękami skrępowanymi na grzbiecie sznurem z pajęczyny na Słońce.

Nieprzyjaciele nie uznali za stosowne oblegać grodu Endymiona, a tylko cofnąwszy się, wznieśli między Księżycem a Słońcem mur tak, iż promienie ze Słońca nie mogły się już więcej przedostawać na Księżyc. Mur ten był podwójny, a zbudowano go z chmur. Zaraz nastąpiło całkowite zaćmienie Księżyca i noc nieprzerwana zaległa całą jego przestrzeń. W tym trudnym położeniu wyprawił Endymion posłów do Faetona z korną prośbą, ażeby mur ów zburzył i wejrzał miłosiernym okiem na lud jego, w ciemnościach pędzący żywot; za to obiecywał płacić haracz, być sprzymierzeńcem, nie prowadzić z nim nigdy wojny i w dowód tego dać zakładników. Dwa razy zwoływał Faeton w tej sprawie radę; pierwszego dnia nie uchwalono nic — tak wielkie jeszcze było rozgoryczenie; następnego dnia udobruchali się członkowie rady i stanął pokój pod następującymi warunkami:

„Mieszkańcy Słońca i ich sprzymierzeńcy zawierają z mieszkańcami Księżyca i ich sprzymierzeńcami ugodę tej treści—, mieszkańcy Słońca zobowiązują się zburzyć mur graniczny, nie zapuszczać więcej na Księżyc zagonów i wydać jeńców za umówioną cenę. Mieszkańcy Księżyca ze swej strony przyrzekają nie naruszać niezawisłości innych gwiazd, nie podnosić oręża przeciw mieszkańcom Słońca, owszem, w razie najazdu nieprzyjacielskiego wzajemnie sobie dopomagać. Król mieszkańców Księżyca winien jest składać jako daninę królowi mieszkańców Słońca dziesięć tysięcy dzbanów rosy i dać dziesięć tysięcy zakładników. Osadę na Jutrzence mają obie strony wespół założyć, a nadto dozwala się i innym plemionom, które tylko zechcą, brać w zakładaniu jej udział. Układ niniejszy ma być wyryty na słupie bursztynowym i na granicy obu państw w powietrzu wystawiony. Zaprzysięgają go ze strony mieszkańców Słońca: Ogniewski, Żarski i Płomieńczyk, ze strony mieszkańców Księżyca: Nocniewski, Miesiączyński i Jasny”. Taka była osnowa traktatu pokojowego.

Zaraz też wzięto się do burzenia muru i nas jeńców wydano. Kiedyśmy wrócili na Księżyc, druhowie i Endymion we własnej osobie

wyszli naprzeciw i witali nas ze łzami w oczach. Endymion zaproponował mi, żebym pozostał w jego kraju i wziął udział w zakładaniu kolonii, przyrzekając oddać mi rękę swojego syna — kobiet bowiem nie ma tutaj; ale ja nie chciałem się żadną miarą zgodzić na tę propozycję i nalegałem, żeby nas na dół, na morze odesłał. Widząc, że nas nie namówi, puścił nas od siebie po upływie tygodnia, w ciągu którego wspaniale wszystkich ugaszczał.

Tutaj nie od rzeczy będzie opowiedzieć o tych wszystkich nadzwyczajnościach, które zauważyłem w czasie pobytu na Księżycu. Najprzód mieszkańcy tutejsi rodzą się nie z kobiet, lecz z mężczyzn, gdyż jedynie mężczyźni są tutaj żonami, a słowo „kobieta" jest tu w ogóle nie znane. Do lat dwudziestu pięciu bywa każdy mężczyzna żoną, a potem już on sam bierze sobie innego za żonę. Płód rozwija się nie w żywocie, tylko w brzuścu łydki. Po zapłodnieniu łydka pęcznieje, a w jakiś czas następnie ją przecinają i dobywają noworodka, ale martwego — wystawiają z otwartymi usty na wiatr i w ten sposób budzą do życia. Zdaniem moim słowo „brzusiec łydki" stąd się wzięło u Greków, że w łydce niby w żywocie płód się rozwija.

Opowiem jeszcze inną, dziwniejszą rzecz. Jest u nich rodzaj ludzi zwanych Drzewieńcami. Powstają oni w następujący sposób. Wycina się człowiekowi prawe jądro i zasadza w ziemię, a z tego wyrasta drzewo potężne o mięsistej substancji, niby członek męski. Ma ono gałązki i liście, a owocem jego są żołędzie długie na łokieć. Otóż gdy te dojrzeją, zrywa się je i wyłuskuje z nich ludzi. Ci Drzewieńcy mają członki wstydne przyprawione: bogaci z kości słoniowej, a biedacy z drzewa, i z pomocą takich członków spółkują ze swoimi męskimi połowicami. Człowiek tutaj, gdy zestarzeje, nie umiera, a tylko niby dym rozpływa się w powietrzu. Pokarmu używają wszyscy jednego i tego samego, urządzają się zaś w sposób następujący. Nanieciwszy ogień, pieką na węglach żaby, które tutaj całymi masami latają w powietrzu; gdy one się pieką, siadają dookoła ogniska niby dookoła stołu i łykają wznoszący się w górę dym — to starczy im za najwybredniejsze potrawy. Gdy któremu chce się pić, wygniata do kielicha powietrze, przez co otrzymuje ciecz podobną do rosy. Ani moczu, ani kału nie oddają, nawet otworów na to nie mają tam gdzie my. Spółkowanie z chłopcami odbywa się nie tam, gdzie wiecie, tylko w podkolanku, nad łydką, bo tam jest na to miejsce. Ażeby tutaj uchodzić za pięknego, trzeba być łysym i nie mieć ani włoska na ciele; włos bujny budzi u nich odrazę. Przeciwnie na kometach uważają obfity włos za główny warunek piękności, jak nam opowiadało kilku podróżnych, którzy stamtąd pochodzili[6]. Brody rosną im nieco ponad kolanami. Paznokci u nóg nie mają: cała stopa składa się z jednego palca. Z tyłu wyrasta każdemu na kształt ogona długa główka kapusty, wiecznie zielona i nie łamiąca się, chociaż ktoś na grzbiet upadnie. Z

nosa wydziela się tutejszym ludziom miód przykrego smaku, a kiedy pracują lub gimnastykują się, występuje na całym ciele pot mleczny, z którego robią ser, dolawszy parę kropel wspomnianego miodu. Z cebuli wytłaczają tutaj oliwę, lśniącą i wonną niby perfumy.

Rośnie w tym kraju mnóstwo winnej latorośli, która zamiast wina wydaje wodę; jagody podobne są do naszego gradu. Stąd też grad na ziemi tłumaczę sobie w ten sposoby że kiedy silny wiatr wstrząsa owymi winnymi latoroślami, wtedy pękają grona i kawałeczki lodu spadają do nas. Brzucha używają tutaj jako torby i wkładają do niego wszystko, czego potrzebują, brzuch bowiem można dowolnie otwierać i zamykać; wnętrzności nie ma w nim wcale, a tylko wysłany jest w środku gęsto włosem, tak iż nawet niemowlęta, gdy im zimno dokucza, znajdują w nim schronienie. Co się tyczy odzienia, to bogacze noszą miękkie szaty szklane7, ubodzy zaś tkane z miedzi, kraina to bowiem bogata w ten kruszec. Dolawszy wody przyrządzają go tutaj jak u nas wełnę. O oczach tutejszych mieszkańców nie mam nawet odwagi mówić; rzecz wydaje się tak nieprawdopodobną, że łatwo mię ktoś może posądzić o kłamstwo. Ale niech będzie, co chce — powiem i to. Otóż oczy mają tego rodzaju, że je można wyjmować; kto chce, wyjmuje takowe i obywa się bez nich dopóty, aż nie zajdzie potrzeba użycia ich; wtedy wkłada je znowu w oczodoły i widzi. Niejeden też, który własne zgubił, używa wypożyczanych. Bogacze mają ich całe masy w zapasie. Uszy mieszkańców Księżyca zrobione są z liści platanu, jedynie ci zrodzeni z żołędzi mają drewniane.

Nie dość na tym; w pałacu królewskim widziałem inne dziwo: olbrzymie zwierciadło, umieszczone na niezbyt głębokiej studni. Kto do tej studni wejdzie, słyszy— wszystko, co u nas na ziemi mówią, kto na lustro owo spojrzy, widzi wszystkie miasta i wszystkie ludy, jak gdyby tuż przed nim stały. Z pomocą tego zwierciadła widziałem rodzinę i cały kraj ojczysty; czy i oni mię widzieli, tego nie mogę na pewno twierdzić. Ten, co by nie chciał w to uwierzyć, będzie się mógł przekonać o prawdzie słów moich, gdy sam kiedy w te strony przybędzie.

Wreszcie pożegnaliśmy się z królem i jego dworem, wsiedliśmy na statek i puściliśmy się w drogę. Na odchodnym dał mi Endymion w darze dwa chitony szklane, pięć miedzianych i całą zbroję z łubinu, co wszystko zostawiłem w brzuchu wieloryba. Wysłał też z nami tysiąc Koniosępów, którzy mieli nas na pięćset staj odprowadzić. W podróży naszej minęliśmy różne kraje, aż wreszcie przybyliśmy do Jutrzenki, którą od niedawna zaczęto kolonizować, a wysiadłszy na ląd, zaopatrzyliśmy się w wodę. Zapuściwszy się w Zodiak płynęliśmy lewą stroną tuż koło Słońca; jadąc blisko brzegu nie wylądowaliśmy jednak na nim, chociaż druhowie gorąco sobie tego życzyli, bo mieliśmy

wiatr przeciw sobie. Widzieliśmy atoli, że ziemia tu była zasłana piękną, bujną zielenią, nawodniona i zasobna we wszelkie plony. Skoro nas zobaczyli Chmurocentaurowie, będący na żołdzie Taetona, puścili się za naszym statkiem, dowiedziawszy się atoli, że jesteśmy objęci owym układem pokojowym, cofnęli się.

Już też i Koniosępowie opuścili nas. Całą następną noc i następny dzień żeglowaliśmy bez przerwy, spuszczając się na dół, a koło wieczora stanęliśmy w tak zwanych Lampowcach. Gród ten leży między Plejadami i Hiadami, ale znacznie niżej od Zodiaku. Wyszedłszy na ląd, nie ujrzeliśmy ani jednego człowieka, tylko mnóstwo lamp, latających tam i sam i gromadzących się to na rynku, to około portu; jedne z nich były małe i, że się tak wyrażę, reprezentowały proletariat, drugie zaś, nieliczne przedstawicielki wielmożnych i jaśnie wielmożnych, jasnym i potężnym gorzały płomieniem. Każda lampa miała odpowiednie naczynie, które jej służyło za mieszkanie, każda miała osobne nazwisko, podobnie jak my ludzie; co więcej, miały one także swój język. Złego nam nic nie robiły, i owszem, zapraszały w gościnę, a mimo to było nam jakoś nieswojo, tak że żaden nie miał ochoty ani jeść, ani spać. W środku miasta wznosi się ratusz, gdzie ich burmistrz całą noc urzęduje i jedną po drugiej imiennie do siebie wzywa; która na wezwanie się nie stawi, tę jako uciekiniera skazuje na śmierć przez zagaszenie. Stojąc obok widzieliśmy wszystko, co się działo, i słyszeliśmy, jak lampy się usprawiedliwiały i przytaczały powody, dla których się spóźniły. Przy tej sposobności spostrzegłem i naszą lampę; przemówiwszy do niej, dopytywałem się, co słychać w domu, a ona opowiedziała mi wszystko.

Przez ową tedy noc ostaliśmy na miejscu, nazajutrz zaś podnieśliśmy kotwicę i płynęli już blisko chmur; tutaj też, ku niemałemu zdumieniu naszemu, ujrzeliśmy miasto Chmurokukułkowice8, w którym atoli nie stanęliśmy z powodu przeciwnego wiatru. Jednak dowiedzieliśmy się, że panował tam podówczas Wrona, syn Kosińskiego. Tu wspomniałem sobie o poecie Arystofanesie, mężu tak światłym i prawdomównym, a którego słowom, nie wiedzieć z jakiej racji, nikt nie chce dać wiary. W trzy dni potem widzieliśmy już wyraźnie ocean, ale ziemi nie mogliśmy jeszcze nigdzie spostrzec, z wyjątkiem tych ziem, które wisiały w powietrzu, one zaś wydawały nam się ogniste i niezmiernie błyszczące. Czwartego dnia koło południa wiatr złagodniał i ustał, a my opuściliśmy się na morze. Skorośmy poczuli pod sobą wodę, niewysłowiona radość ogarnęła nasze serca; urządziliśmy bankiet z zapasów, któreśmy jeszcze mieli, powskakiwaliśmy w morze i kąpali się. W tej bowiem chwili panowała cisza morska i fala stała nieporuszona. Ale szczęśliwy obrót rzeczy bywa nieraz początkiem

sroższych ciosów. Zaledwie bowiem upłynęliśmy wśród miłej pogody dwa dni drogi, gdy dnia trzeciego, równo ze świtem, ujrzeliśmy nagle mnóstwo potworów morskich i wielorybów, a między nimi jednego ogromnych rozmiarów, długiego na jakie tysiąc pięćset staj. Z rozwartą paszczą, roztrącając wzburzoną falę, pianą zlany, sunął on wprost na nas i wyszczerzał zęby o wiele wyższe niż znaki Dionizosa w naszym kraju9, spiczaste niby ostrokoły i białe jak kość słoniowa. Pożegnawszy się z sobą i uścisnąwszy, czekaliśmy naszego losu, gdy wtem potwór stanął tuż przed nami i połknął nas wraz z okrętem. Nie zmiażdżył nas jednak zębami — statek przez szpary między nimi stoczył się do brzucha.

Kiedyśmy się wewnątrz znaleźli, było nam z początku tak ciemno, żeśmy nic a nic nie widzieli, gdy jednak po chwili zwierzę paszczę otworzyło, ujrzeliśmy otchłań ogromną, szeroką i wysoką, zdolną pomieścić w sobie miasto z dziesięciu tysiącami mieszkańców. Dookoła leżały małe rybki, mnóstwo różnych zwierząt posiekanych zębami, żagle, kotwice, kości ludzkie i ładunki okrętów, a w środku sterczał pagórkowaty szmat ziemi, utworzony, zdaje się, z mułu, który wieloryb z wodą połykał. Tutaj rósł las, rosły drzewa różnego rodzaju, zieleniły się jarzyny i w ogóle było znać gospodarkę człowieka. Kraina ta miała obwodu dwieście czterdzieści staj. Widać też tu było ptactwo morskie, mewy i zimorodki gnieżdżące się po drzewach.

W pierwszej chwili gorzko i długo płakaliśmy, wreszcie atoli, wlawszy sobie nawzajem otuchę w serca, ustawiliśmy i podparli statek; następnie skrzesawszy ognia i nanieciwszy ognisko sporządziliśmy sobie wieczerzę z zapasów, które były pod ręką, mianowicie z ryb, których mnóstwo wszelkiego rodzaju leżało dookoła; wodę mieliśmy jeszcze z Jutrzenki. Gdyśmy nazajutrz wstali, widzieliśmy, ilekroć wieloryb paszczę otworzył, to ziemię, to góry, to niebo tylko, to wyspy, z czego wywnioskowaliśmy, że z wielką

szybkością porusza się we wszystkich częściach morza.

Skorośmy się już do pobytu tutaj przyzwyczaili, wziąłem z sobą sześciu towarzyszów i puściłem się na zwiady ku lasowi. Ledwiem uszedł niespełna pięć staj, natrafiłem na świątynię Posejdona, jak opiewał napis, a dalej nieco na mnóstwo mogił z nagrobkami i w pobliżu ich jasną strugę wody. Słyszeliśmy też naszczekiwanie psa, a w oddali widać było wznoszący się dym, z czego wnosiliśmy, że znajdujemy się w pobliżu jakiegoś domku wiejskiego. Przyspieszywszy kroku, napotkaliśmy starucha i wyrostka, którzy zajęci byli gorliwie pracą w ogródku, mianowicie sprowadzaniem do niego wody ze strugi. Uradowani, a zarazem przestraszeni, stanęliśmy na miejscu. I oni także, widocznie pod wpływem tych samych uczuć, stanęli jak wryci, nie mogąc z siebie słowa dobyć. Upłynął kawał czasu, gdy wreszcie starzec ozwał się: „Co zacz jesteście, przybysze? Czy bogi jakie morskie, czy nieszczęśni, nam podobni ludzie? Bo my jesteśmy ludźmi, wychowaliśmy się na ziemi, lecz obecnie zostaliśmy mieszkańcami morza i pływamy wraz z tym potworem, który nas w sobie więzi, nie wiedząc na pewno, co się z nami dzieje; z jednej bowiem strony zdaje nam się, żeśmy umarli, a z drugiej tuszymy, że żyjemy”. Na to ja rzekłem: „I my też, ojcze, ludzie; bawimy tutaj od niedawna, połknięci onegdaj wraz ze statkiem. Wybraliśmy się obecnie w drogę, w celu zbadania tego lasu, który wydawał nam się wielki i gęsty. Ale widocznie jakieś bóstwo opiekuńcze zawiodło nas w tę stronę, abyśmy cię zobaczyli i dowiedzieli się, że nie nas samych więzi w sobie to zwierzę. Ale opowiedz nam o swych losach, kim jesteś i w jaki tutaj sposób się dostałeś”. Starzec jednak oświadczył, że nie powie nam ani słówka, ani też nas o nasze losy nie zapyta, póki nas u siebie nie ugości, i zabrawszy z sobą, powiódł nas do swego domu. Był on jak na tego człowieka wcale porządny, miał sofy i zaopatrzony był we wszystkie niezbędne rzeczy. Zastawiwszy przed nami jarzyny, owoce, ryby, także wino, nakarmiwszy nas i napoiwszy, począł się wypytywać o przygody nasze. Ja opowiedziałem mu po kolei wszystko, a więc o burzy, o przygodach na wyspie, o żegludze napowietrznej, o wojnie i o innych wydarzeniach aż do chwili naszego utonięcia w wielorybie.

Wyraziwszy swoje ogromne zdumienie, począł starzec swoje własne dzieje opowiadać tymi słowy: „Moi przyjaciele, pochodzę z Cypru. W sprawach kupieckich wybrałem się swojego czasu z ojczyzny wraz z synem, którego oto widzicie, i z licznymi sługami do Italii, wioząc na ogromnym okręcie, którego szczątki widzieliście może w paszczy wieloryba, różne towary. Aż do Sycylii żeglowaliśmy szczęśliwie; tutaj porwała nas gwałtowna burza i po trzech dniach błąkaniny zagnała na ocean, gdzie spotkaliśmy się z tym wielorybem i wraz z załogą zostaliśmy połknięci. Wszyscy moi ludzie zginęli przy

tej sposobności, tylko my dwaj uratowaliśmy się. Pogrzebawszy druhów i wzniósłszy świątynię Posejdonowi pędzimy odtąd życie w ten sposób, że hodujemy jarzyny i żywimy się rybami i owocami drzew. W lesie tym, który, jak widzicie, jest rozległy, znajduje się mnóstwo latorośli dających wyborne wino; widzieliście też pewnie nasz strumień dziwnie pięknej i zimnej wody. Łoża ścielimy sobie z liści drzew, drzewa na opał mamy pod dostatkiem, polujemy na ptaki wlatujące do wnętrza i łowimy żywcem ryby, zapuszczając się ku skrzelom potwora, gdzie też się i kąpiemy, gdy nam ochota przyjdzie. Niedaleko stąd znajduje się staw ze słoną wodą, mający dwadzieścia staj obwodu, pełen ryb wszelakiego rodzaju; po stawie tym pływamy i jeździmy na małym czółnie, które własną ręką zbudowałem. W ten tedy sposób przeżyliśmy od chwili połknięcia przez wieloryba dwadzieścia siedem lat.

Położenie nasze byłoby zresztą znośne, gdyby nie nasi sąsiedzi, ludzie nietowarzyscy i dzicy, którzy nas trapią i prześladują". „Jak to? — zawołałem. — Więc ten wieloryb ma jeszcze jakich mieszkańców?" „Mnóstwo — odparł starzec — niezgodnych drapichrustów o dziwacznych postaciach. Zachodnią część lasu, ku ogonowi, zamieszkują Marynowani, z oczyma węgorza a twarzą kraba, plemię bitne, zuchwałe, kanibalskie. Z przeciwnego boku, koło prawej ściany, rozsiedli się Trytonojaszczury, górną połową ciała podobni do ludzi, a dolną do jaszczurek; ci nie są tak niegodziwi jak inni. Po lewej ręce mieszkają Raczę Ręce i Tuńczykowe Głowy, oba te szczepy zostają z sobą w stosunkach przymierza i przyjaźni. Środek zajmują Krabianie i Flądronogi, lud bitny i nadzwyczaj chyży w biegu. Część wschodnia, leżąca tuż przy paszczy, jest przeważnie nie zamieszkana, ponieważ ją fale morza zalewają. Mimo to wziąłem w dzierżawę tę krainę od Flądronogów i płacę im rocznie pięćset sztuk ostryg. Otóż taka to jest ta ziemia.

A teraz pomyślcie nad tym, jak byśmy mogli stawić opór tylu narodom i jakoś przecie żyć". — „Iluż ich — przerwałem — jest wszystkich razem?" „Przeszło tysiąc!" — rzekł starzec. — „A jakąż mają broń?" „Żadnej — odparł — prócz ości ryb". „Najlepiej tedy, abyśmy, jako mający broń, z nimi, bezbronnymi, orężnie się rozprawili; jeżeli ich bowiem pobijemy, będziemy już mogli na całe życie mieć spokój". Propozycję moją przyjęto; wróciwszy tedy na okręt poczęliśmy się zbroić. Jako przyczyna wojny miało posłużyć nieuiszczenie na termin daniny. W istocie strona przeciwna przysłała po haracz, on zaś odprawił posłów z wyzywającą odpowiedzią. Wtedy najpierw Flądronogi i Krabianie, rozjątrzeni, wtargnęli z wielką wrzawą w posiadłości Skintarosa — tak bowiem nazywał się nasz znajomy.

Ponieważ tęgo napadu spodziewaliśmy się, więc czekaliśmy ich

z orężem w ręku, urządziwszy w dwudziestu pięciu ludzi zasadzkę; ludziom tym polecono, aby skoro zobaczą, że nieprzyjaciel ich minął, rzucili się na niego z tyłu, co też w istocie uczynili. Uderzywszy tedy od tyłu, razili ich, a równocześnie my, w liczbie dwudziestu pięciu (Skintaros bowiem i syn jego walczyli razem z nami), zaszliśmy im drogę z przodu i rzuciwszy się na nich potykaliśmy się mężnie i zawzięcie. Wreszcie zmusiliśmy ich do ucieczki i zapędzili aż do nor, w których mieszkali. Legło w tej potrzebie stu siedemdziesięciu wrogów, a tylko jeden z naszych i sternik, któremu żebrem barweny przeszyto przeponę, brzuszną. Resztę dnia i noc spędziliśmy na pobojowisku i wznieśliśmy pomnik zwycięstwa z wysuszonego stosu pacierzowego delfina, któryśmy wbili w ziemię.

Nazajutrz, kiedy się wieść o tym wydarzeniu rozeszła, wyszli w pole także inni mieszkańcy wieloryba; prawe skrzydło tej armii zajmowali Marynowani pod wodzą Tuńczyka Pelamosa, lewe Tuńczykowe Głowy, w środku stali Raczę Ręce. Trytonojaszczury, którzy ani jednej, ani drugiej stronie nie chcieli pomagać, zachowali się neutralnie. Przy świątyni Posejdona, dokąd wyszliśmy naprzeciw nieprzyjaciela, rzuciliśmy się z rozgłośnym krzykiem na ową armię. Brzuch potwora grzmiał echem niby wnętrze jakiejś jaskini. Ponieważ nieprzyjaciele byli prawie bez broni, poszli więc w rozsypkę, a my zapędziliśmy ich aż do lasu. W ten sposób staliśmy się panami całej tej krainy. Niedługo potem przysłali do nas heroldów z prośbą o wydanie poległych i z propozycją pokoju; my atoli nie uznaliśmy za stosowne wdawać się w układy; owszem, wyruszyliśmy nazajutrz przeciw nim i wycięliśmy wszystkich w pień prócz Trytonojaszczurów. Ci widząc, co się dzieje, czmychnęli do skrzel wielorybich i powskakiwali w morze.

Następnie przebiegliśmy cały kraj, a że już oczyszczony był z nieprzyjaciół, mieszkaliśmy odtąd, nie bojąc się niczego, zajęci to gimnastyką, to łowami, to uprawą wina, to zbieraniem owoców z drzew; ogółem żyliśmy sobie swobodnie i wygodnie, jak ludzie zamknięci w obszernym więzieniu, z którego niepodobna uciec. Tak przeżyliśmy rok i osiem miesięcy.

Piątego dnia w dziewiątym miesiącu, w czasie wtórego rozwarcia się paszczy wieloryba (czynił on to co godzinę, tak żeśmy według rozwierań się jego paszczy obliczali godziny) — w czasie tedy wtórego, jak wspomniałem, rozwarcia się paszczy usłyszeliśmy nagle niezmierną wrzawę i niby to głosy komendy i chrobot wioseł. Przestraszeni, wpełzliśmy aż do samej paszczy potwora, a stanąwszy między zębami, zobaczyliśmy coś takiego, czego nigdy w życiu jeszcze nie widzieliśmy: ludzi wysokich na jakie pół stai, którzy na ogromnych wyspach, jakby na trójrzędowcach, tuż koło nas płynęli. Jestem przekonany, że słowa moje nie znajdą wiary, ale mimo to opowiem wszystko. Wyspy owe były długie, ale niezbyt wysokie;

każda z nich mogła mieć obwodu sto staj. Na każdej płynęło mniej więcej stu dwudziestu ludzi. Z tych jedni, siedząc rzędem po prawej i po lewej stronie wyspy, robili niby wiosłami ogromnymi cyprysami, które jeszcze gałęzie i liście na sobie miały, przy rufie zaś, że się tak wyrażę, stał na wysokim pagórze sternik, dzierżąc ster spiżowy, długi pięć staj; na przodzie statku stało gotowych do boju niemal czterdziestu wojowników, zupełnie podobnych do ludzi, z tym wyjątkiem, że zamiast włosów mieli na głowie płomienie, które zastępowały hełmy10. Za żagiel służył na każdej z owych wysp gęsty las; wiatr, wpadając w gałęzie jego drzew, wydymał go i niósł wyspę tam, dokąd chciał sternik. Pod okiem nadzorcy pracowali wioślarze i wyspy sunęły przy pomocy wioseł szybko, jakoby wojenne statki. Z początku widzieliśmy ich trzy czy cztery, później pokazało się ich koło sześciuset; ustawiwszy się, rozpoczęły formalną bitwę morską. Jedne uderzały na siebie przodami, drugie zdruzgotane tonęły, inne, starłszy się z sobą, potykały się mężnie i zawzięcie; wojownicy bowiem, ustawieni na przedzie, wskakując na statki nieprzyjacielskie i mordując, co im się pod rękę nawinęło, cudów męstwa dokazywali. Pardonu nie dawano. Miasto pomostów żelaznych rzucali nawzajem na okręty ogromne, na linach przywiązane polipy, które objąwszy ramionami las, przytrzymywały wyspę. Jako pociski, które miotali na siebie i które krwawą rzeź szerzyły, służyły naszym olbrzymom ostrygi takich rozmiarów, iż ledwo można by jedną udźwignąć na wozie, i gąbki wielkości jednego morga. Jednym hetmanił centaur Krasoń, drugim Morzochlej; do walki widocznie przyszło z tego powodu, że Morzochlej uprowadził liczne stada delfinów centaura Krasonia. Tyle przynajmniej wyrozumieć można było z tego, co na siebie wołali, wymieniając nazwiska królów. Ostatecznie zwyciężyły hufce centaura Krasonia; blisko sto pięćdziesiąt okrętów nieprzyjacielskich zatopiono, trzy wraz z załogą wzięto do niewoli, reszta z czołem podanym ku nieprzyjacielowi ratowała się ucieczką. Zwycięzcy ścigali przeciwników jakiś czas, wieczorem powrócili do zatopionych okrętów, zabrali przeważną część tychże i wydostali także swoje, bo im utonęło niemal osiemdziesiąt wysp. Jako znak zwycięstwa utwierdzili na głowie wieloryba jedną z wysp nieprzyjacielskich. Noc spędzili koło potwora, przywiązawszy do niego liny i zarzuciwszy tuż obok kotwice; mieli bowiem z sobą kotwice ogromne, szklane, nadzwyczaj silne. Nazajutrz, złożywszy bogom ofiary na grzbiecie wieloryba, pogrzebawszy tutaj swych rodaków, odpłynęli z radością, śpiewając pieśni jakieś niby peany. Ot i wszystko, co miałem opowiedzieć o bitwie wysp.

Księga II

Życie, jakieśmy wiedli we wnętrzu wieloryba, stało się dla mnie odtąd tak nieznośne i dalszy pobyt w nim obmierzł mi do tego stopnia, że począłem przemyśliwać, w jaki by sposób z niego się wydostać. Pierwotny plan nasz był taki, żeby zrobić wyłom w prawej ścianie potwora i czmychnąć nim. Zabraliśmy się tedy do roboty. Kiedyśmy się jednak zupełnie bezskutecznie wkopali na jakie pięć staj, daliśmy sobie z tym spokój, a zdecydowaliśmy się zapalić las, niepłonną żywiąc nadzieję, że w ten sposób uśmiercimy wieloryba, a skoro to nastąpi, wydobycie się z niego nie będzie już dla nas przedstawiało żadnych trudności.

Zapuściliśmy więc ogień w okolicy, leżącej tuż przy ogonie. Przez siedem dni i tyleż nocy pożar nie robił na naszym potworze żadnego wrażenia, ale już ósmego i dziewiątego poczęliśmy miarkować, że coś z nim źle słychać, bo rzadziej już rozdziawiał paszczę, a ile razy ją rozwarł, w tej chwili ją zamykał. W ciągu dnia jedenastego i dwunastego zwierzę dochodziło powoli i zaczynało już cuchnąć. Dwunastego dnia przyszła nam szczęśliwa myśl do głowy, że jeśli w chwili, gdy rozdziawi paszczę, nie podeprzemy mu szczęk, aby już ich więcej nie mógł przywrzeć, to możemy się znaleźć w niemiłym

położeniu, że przyjdzie nam w jego brzuchu życia dokonać. Podparliśmy więc jego paszczę potężnymi belkami, zaopatrzyliśmy statek tak obficie, jak się tylko dało, w wodę i inne zapasy, a Skintaros zgodził się objąć godność sternika.

Następnego dnia już było po zwierzęciu. Teraz wyciągnęliśmy okręt w górę, przesunęli między szparami zębów, umocowali u nich i spuścili lekko na morze. Następnie wdrapaliśmy się na grzbiet wieloryba, złożyliśmy ofiary Posejdonowi, spędzili z powodu ciszy morskiej koło trofeju trzy dni, a czwartego ruszyliśmy w drogę. Zaraz na początku tej naszej podróży natrafiliśmy na mnóstwo płynących po fali zwłok poległych w owej bitwie morskiej wojowników i podziwialiśmy olbrzymie ich wymiary. W ciągu kilku pierwszych dni żeglugi sprzyjała nam pogoda; następnie począł dąć silny wiatr północny i zrobiło się tak zimno, iż morze ścięło się lodem, a to nie tylko po wierzchu, ale nawet w głąb na jakie czterysta sążni. Musieliśmy więc wysiąść z galery i posuwać się dalej po powierzchni lodu. Wiatr dął i dął ciągle, że niepodobna już było i wytrzymać. Wtedy to — plan ten podał nam Skintaros — wpadliśmy na taki pomysł. Zrobiliśmy w morzu ogromny otwór i w nim przepędziliśmy trzydzieści dni, paląc ognisko i żywiąc się rybami, któreśmy przy kopaniu owego dołu znajdowali. Kiedy nam wreszcie zabrakło zapasów, wyszliśmy na wierzch, wydobyli przemarznięty okręt, a rozwinąwszy żagle, niby po fali toczyliśmy się lekko i wygodnie po lodzie. Piątego dnia nastąpiła wreszcie odwilż, lód zaczął tajać i znowu naokoło mieliśmy tylko wodę i wodę. Zrobiwszy blisko trzysta staj drogi, dostaliśmy się do małej, samotnej wysepki; tutaj zaopatrzyliśmy się w wodę, której nam już poczęło brakować, ubiliśmy dwa dzikie woły i puścili się dalej w drogę. Woły owe miały rogi nie na czole, ale pod oczami, jak chciał Momos11.

Po jakimś czasie dostaliśmy się na morze płynące nie wodą, ale mlekiem; widać też było na nim białą wyspę, pełną winnych latorośli. Wyspa ta był to potężny, porządnie ugnieciony, jakeśmy się później przekonali, ser, mający obwodu dwadzieścia pięć staj; winne latorośle na nim obwieszone były obficie gronami. Gdyśmy je wyciskali, płynęło z nich nie wino, lecz mleko. W środku wyspy wznosiła się świątynia nereidy Mleczko, jak opiewał napis na niej umieszczony. Przez cały ten czas, któryśmy tutaj bawili, dostarczała nam ziemia potraw i przysmaków, a mleko jagód winnych napoju. Królową tej krainy była, jakeśmy się dowiedzieli, Serowiecka, córka Salmoneusa; godność tę nadał jej, gdy pożegnała doczesność, Posejdon12.

Po pięciu dniach pobytu na wyspie szóstego mknęliśmy już przy łagodnym wietrze po lekko sfałdowanej fali. Ósmego dnia, kiedyśmy już nie po mleku, lecz po gorzkiej, błękitnej płynęli wodzie, spostrzegliśmy tłum ludzi pędzących po morzu, kształtem i wzrostem

zupełnie do nas podobnych, z wyjątkiem nóg, które były z korka. Od nich też, jak się zdaje, dzierżyli nazwę Korkonogów. Z podziwem patrzyliśmy na nich, jak nie nurzając się, ale unosząc ponad falami, spokojnie sobie podróżowali. Zbliżyli się też do nas, jęli nas pozdrawiać w języku greckim i powiadali, że zdążają do Korczyc, swego gniazda rodzinnego. Jakiś czas towarzyszyli nam biegnąc tuż obok, następnie, życząc nam szczęśliwej drogi, skręcili w bok i poszli precz. Niebawem ujrzeliśmy masę wysp, między tymi nie opodal po lewej ręce Korczyce, miasto zbudowane na kolosalnym ogromnym korku, dokąd owi ludzie spieszyli; w dali zaś, więcej ku prawej ręce, widać było pięć nadzwyczaj wielkich i wysokich wysp, a na nich płonęły mnogie ognie.

Tuż naprzeciwko przodu naszej galery, w odległości najmniej pięciuset staj leżała jedna wyspa, szeroka i płaska. Kiedyśmy się do niej zbliżali, owionęło nas cudownie miłe i wonne powietrze, przypominające owo, które według opowiadań Herodota[13] zalatuje ze Szczęśliwej Arabii. Czuć było w nim zapach róż, narcyzów, hiacyntów, lilii, fiołków, nadto mirtu, wawrzynu i kwiatu winnego. Oczarowani wonią, pewni, że po tylu trudach raz przecie sobie wypoczniemy, dotarliśmy niezadługo do wyspy. Tu zobaczyliśmy wszędzie dokoła liczne, wygodne i obszerne przystanie, przeźroczyste jak kryształ rzeki, które bez szelestu wpadały w morze, a dalej łąki, lasy, ptaki śpiewające to na wybrzeżu, to na gałęziach drzew; lekkie, wonne powietrze rozlewało się nad całą tą krainą; miłe wietrzyki, łagodnie wiejąc, potrząsały lasem, a z potrącanych gałązek dźwięczała bez ustanku czarowna pieśń, niby miękkie tony zawieszonej w samotni piszczałki. Dochodził też do naszych uszu gwar różnorodnych głosów, ale nie zgiełkliwy, jeno podobny temu, jaki bywa przy biesiadzie, gdy jedni grają, drudzy klaszczą, a inni wybijają takt przy wtórze fletu lub lutni. Zachwyceni tym wszystkim przybiliśmy do lądu, a zawinąwszy do portu, wysiedliśmy, pozostawiając na miejscu Skintarosa i dwóch druhów. Kiedyśmy pomykali kwiecistą błonia, zetknęliśmy się ze strażnikami granicznymi; ci skrępowali nam ręce kajdanami, które tutaj uważają za najsilniejsze, mianowicie różanymi wieńcami, i zabrali nas do swego naczelnika. Po drodze dowiedzieliśmy się od nich, że wyspa, na której się znajdujemy, zowie się Wyspą Błogosławionych, a władcą jej jest Kreteńczyk Radamantys.

Kiedy nas wreszcie przed nim stawiono, zajęliśmy czwarte z kolei miejsce w szeregu stron, których sprawę rozsądzał. — Pierwszą była sprawa Ajasa, syna Telamona; chodziło o to, czy go przepuścić do towarzystwa z herosami, czy nie. Zarzucano mu, że oszalał i własną ręką życie sobie odebrał. Po długiej debacie wydał nareszcie Radamantys wyrok tej treści, że na razie trzeba go oddać lekarzowi Hipokratesowi z Kos[14] na kurację ciemierzycową[15], a dopiero kiedy

rozum odzyska, wolno mu będzie zasiadać do bankietów z herosami. — Druga sprawa była treści miłosnej. Tezeusz i Menelaos prawowali się o to, do którego Helena ma należeć. Radamantys zawyrokował, że w uznaniu niebezpieczeństw i trudów, które dla niej Menelaos poniósł, przyznaje się ją temu ostatniemu, zwłaszcza też że Tezeusz ma już inne kobiety, jak Amazonkę16 i córki Minosa17. — Treścią trzeciej sprawy był spór o pierwszeństwo między Aleksandrem, synem Filipa, i Kartagińczykiem Hannibalem. Pierwszeństwo przyznano Aleksandrowi i w myśl tego wyroku postawiono dla niego tron obok Persa Cyrusa Starszego18. — Czwartych z kolei wprowadzono do sali sądowej nas, a Radamantys zapytał mnie, skądeśmy się w tej świętej krainie za życia wzięli. Opowiedzieliśmy, jak się rzecz miała. A wtedy on kazał nam się oddalić i długi czas rozważał naszą sprawę w porozumieniu z sędziami przysięgłymi; siedziało ich tam kilku, a między nimi Ateńczyk Arystydes Sprawiedliwy. Wreszcie ogłosił wyrok tej treści, że za wścibstwo i za tę naszą zuchwałą podróż czeka nas kara po śmierci, obecnie zaś pozwala się nam przez pewien czas pozostać na wyspie i zabawić w towarzystwie herosów, po upływie zaś tegoż mamy pójść precz. Jako termin pobytu wyznaczył nam koniec siódmego miesiąca. W tej chwili spadły z rąk naszych różane okowy; już wolnych zawiedziono nas do miasta i na biesiadę Błogosławionych.

Całe to miasto jest ze złota, a obwodzi je naokół mur szmaragdowy. Do miasta prowadzi siedem bram, każda z jednej kłody cynamonu. Podwaliny miasta i cała ziemia w obrębie murów wyłożona jest kością słoniową. Wszystkie świątynie bogów zbudowane są z berylu, a ołtarze w tychże, na których składają całopalenia, wzniesione są z olbrzymich, jednolitych głazów ametystu. Dookoła miasta płynie rzeka cudownie pachnących olejków, szeroka na sto królewskich łokci, a głęboka na pięć, tak iż po niej i statki swobodnie mogą płynąć. Łaźnie tutejsze są to okazałe gmachy szklane, opalane drzewem cynamonowym; wanny w nich wypełniają nie wodą, ale ciepłą rosą.

Szaty noszą tutaj z miękkiej purpurowej pajęczyny. Mieszkańcy tej krainy, nieuchwytne i nikłe postacie, nie mają ciała na sobie, a tylko pozorne kształty tegoż. Mimo jednak tej bezcielesności stoją, poruszają się, myślą i wydają głosy, ogółem — robią wrażenie dusz nago chodzących, odzianych tylko podobizną ciała. Toteż żeby się przekonać, że to, co widzimy, nie jest ciałem, trzeba się dotknąć. Są to bowiem jak gdyby smukłe cienie, ale nie czarne.

W kraju tym nikt się nie starzeje; ile kto lat miał, kiedy tu przyszedł, tyle ma i później. Nie ma tu również ani nocy, ani właściwego dnia; jasność niby zorzy rannej tuż przed wschodem słońca zalewa wiecznie tę krainę. I pora roku jedna też tylko tu znana: nieprzerwana wiosna; także wieje tu ustawicznie tylko jeden wiatr:

zefir.

Kwiaty łąk i szlachetne[19] cieniste drzewa nigdy w tym kraju nie więdną; winne latorośle dwanaście razy do roku, co miesiąc, dojrzewają, jabłonie zaś granatów, zwyczajne i inne drzewa wydają podobno nawet trzynaście razy w roku owoce, gdyż w jednym miesiącu, zwanym miesiącem Minosa, dwa razy trzeba je zbierać. Owoc tutejszej pszenicy przedstawia się nie jako ziarnka, ale jako upieczone już bochenki chleba. Dookoła miasta znajduje się trzysta sześćdziesiąt pięć źródeł czystej wody, tyleż miodu; pięćset, nieco mniejszych, toczy w swych falach wonne olejki, siedem rzek płynie mlekiem, osiem winem.

Miejsce biesiad leży poza miastem, na tak zwanym polu elizejskim; jest to prześliczna łąka, otoczona gęstym lasem przeróżnych drzew, rzucających cień na biesiadników, którzy pod nimi na sofach z kwiatów wypoczywają. Posługują i podają im wszystko, czego potrzeba, z wyjątkiem wina, wiatry; wina nie roznoszą, gdyż go wcale nie potrzebują. Koło sali biesiadnej stoją bowiem olbrzymie drzewa szklane z najprzeźroczystszego kryształu, a owocem tych drzew są czarki najrozmaitszego kształtu i wielkości. Otóż kiedy ktoś przyjdzie na ucztę, zrywa jeden lub dwa takie kubki i stawia przed sobą, a one w tej chwili napełniają się winem. W taki sposób przyrządzają sobie napoje. Wieńców nie potrzebują kłaść na skroń, bo słowiki i inne śpiewaki, unosząc się ponad nimi z pieśniami, zasypują ich, niby śniegiem, kwieciem, które zbierają swymi dzióbkami na sąsiednich łąkach. Perfumują się w sposób następujący. Gąbczaste chmury wsiąkają w siebie wonności z ruczajów i rzeki, zawisają ponad salą godową i napierane lekko wiatrem spuszczają na dół w kształcie drobniuchnego deszczyku owe pachnidła. Przy uczcie zabawiają się tutaj muzyką i śpiewem. Deklamują przede wszystkim pieśni Homera, który we własnej osobie bawi między nimi i ucztuje leżąc powyżej Odyseusza. Chóry tutejsze składają się z chłopców i dziewcząt; dyrygują nimi i wtórują: Lokryjczyk Eunomos, Arion z Lesbos, Anakreont i Stezychoros, bo tego tam widziałem — Helena mu już przebaczyła[20]. Skoro ci przestaną śpiewać, nadciąga drugi chór: chór łabędzi, jaskółek i słowików. Gdy wreszcie i te skończą swoje śpiewy, wtedy intonują nową pieśń wiatry i poczyna grać cały las. Do spotęgowania wesołości biesiadników przyczynia się też niemało i to, że tuż obok sali znajdują się dwie krynice: jedna śmiechu, druga rozkoszy. Przed rozpoczęciem zabawy piją z każdego z tych źródeł, a potem godują już wśród radości i śmiechu.

A teraz opowiem także o sławnych mężach, których tutaj widziałem. Widziałem tedy najprzód wszystkich półbogów i bohaterów spod Troi, oprócz Ajasa Lokryjczyka; on tylko jeden, jak powiadano, ponosi męki w Krainie Występnych. Spomiędzy

barbarzyńców spotkałem tutaj obu Cyrusów, Scytę Anacharsisa[21], Traka Zamolksisa[22], Italczyka Numę, dalej Lacedemończyka Likurga, Ateńczyka Fokiona i Tellosa i siedmiu mędrców z wyjątkiem Periandra. Widziałem też Sokratesa, syna Sofroniskosa, gwarzącego z Nestorem i Palamedesem. Towarzyszyli mu Lacedemończyk Hiakintos, Tespijczyk Narkissos, Hylas i cała masa dorodnych młodzieńców. Zdawało mi się, że się kocha w Hiakintosie, bo przeważnie jego zbijał w wywodach. Słyszałem, że Radamantys zły jest na niego i że już nieraz się odgrażał, że go wypędzi z wyspy, jeżeli się nie pozbędzie swego gadulstwa i żartowania sobie z drugich i nie będzie ucztował. Brakowało tylko Platona, który podobno mieszkał w państwie przez siebie wymyślonym, rządząc się ustawami i prawami, które sam mu nadał. Największą tutaj sympatią cieszą się Arystyp[23] i Epikur, jako ludzie mili, układni i jedyni do zabawy. Znajdował się tam i Frygijczyk Ezop; ten gra tutaj nieraz rolę błazna. Diogenes z Synopy odmienił tak dalece tryb życia, że ożenił się z heterą Laidą, że nieraz podchmielony wstaje, tańczy i różne inne płata figle. Ze stoików nie było tam żadnego; podobno jeszcze ciągle pięli się na strome wzgórze cnoty. O Chryzypie[24] słyszeliśmy, że wolno mu dopiero wtedy przybyć na tę wyspę, gdy po raz czwarty podda się kuracji ciemierzycowej[25]. Akademicy radzi by byli podobno dostać się na nią, ale ciągle ociągają się i zastanawiają, bo nie mogą uwierzyć w to, czy istnieje w istocie podobna wyspa. A ja myślę, że musieli mieć niemało strachu przed sądem Radamantysa, pomnąc, że sami obalili zasady sądzenia[26]. Powiadano, że wielu spomiędzy nich zapędzało się w ślad za przychodzącymi, ale z braku odwagi zostawali w tyle nie mogąc się zdecydować i cofali się w połowie drogi. Oto najgodniejsi wzmianki spomiędzy tych, którzy się tam znajdowali. Największą czcią otaczają tutaj Achillesa, a po nim Tezeusza. Na spółkowanie płciowe zapatrują się tak, że się z nim nie kryją, lecz załatwiają się na oczach wszystkich, zarówno z mężczyznami, jak z kobietami, i nie uważają tego wcale za coś nieskromnego. Jeden tylko Sokrates klął się na wszystko, że idealnie obcuje z chłopcami; wszelakoż wszyscy podejrzewali go, że krzywoprzysięga. Przynajmniej Hiakintos i Narkissos zeznawali na jego niekorzyść; ale on wszystkiego się wypierał. Kobiety są wspólne, za czym idzie, że zazdrość o nie jest tu nie znana; pod tym względem są mieszkańcy tutejsi platonikami najczystszej wody. Powolni są wszyscy.

Po upływie jakich niespełna dwóch lub trzech dni zbliżyłem się w swobodnej chwili do poety Homera i jąłem go pytać to o to, to o owo, a między innymi skąd pochodzi, usprawiedliwiając moją ciekawość tym, że o to do tej chwili toczą się u nas zawzięte spory. Starzec odpowiedział, że wie doskonale, iż jedni uważają go za Chijczyka, drudzy za Smyrnejczyka, wielu nawet za Kolofończyka, ale

on w istocie jest Babilończykiem i nazywa się u swoich nie Homerem, ale Tigranesem, i że dopiero później zmienił to nazwisko, kiedy jako zakładnik[27] przebywał w Helladzie. Zapytałem też go w sprawie wierszy zakwestionowanych przez krytyków, czy przez niego są napisane, czy nie. Oświadczył, że jest autorem wszystkich tych wierszy. Uśmiałem się wtedy serdecznie w duszy z jałowych dociekań gramatyków Zenodota i Arystarcha[28]. Kiedy ciekawość moją pod tym względem zupełnie zaspokoił, zapytałem go znowu, dlaczego zaczął poemat od słowa „gniew". On odrzekł, że wcale nad tym nie medytował, że mu to tak ni stąd, ni zowąd wpadło do głowy. Prosiłem go także, żeby mi powiedział, czy to prawda, co wielu utrzymuje, że pierwej napisał Odyseję niż Iliadę. Odpowiedział, że nie. Że nie był ślepy, jak o nim mówią, można się było na pierwszy rzut oka przekonać, widział bowiem doskonale; nie potrzebowałem więc nawet pytać go o to. I potem niejednokrotnie, ile razy mianowicie widziałem, że ma wolną chwilę, czyniłem to samo: przychodziłem do niego i rozpytywałem się o różne rzeczy, a on mi chętnie wszelkich udzielał objaśnień, a zwłaszcza też, kiedy wygrał proces. Tersytes mianowicie zaskarżył go o obrazę honoru, powołując się na niepoczesność roli, jaką mu wyznaczył w Iliadzie. Dzięki obronie Odyseusza wygrał sprawę Homer.

Pod ten czas przybył też do nas po siedmiu przebytych przemianach, po życiu spędzonym w ciele tylu zwierząt, skończywszy doczesną wędrówkę duszy, Samijczyk Pitagoras. Cała prawa połowa jego ciała była ze złota. Prawo obywatelstwa przyznano mu natychmiast, chodziło jeszcze tylko o to, czy go nazywać Pitagorasem, czy Euforbosem[29]. Zjawił się też i Empedokles, na całym ciele owędzony[30] i opieczony; mimo usilnych próśb nie przyjęto go jednak.

W jakiś czas potem przypadały igrzyska, zwane tutaj świętem nieboszczyków. Sędzią tych igrzysk był Achilles po raz piąty i Tezeusz po raz siódmy. Dużo byłoby o tym opowiadać, ale podam tylko treść rzeczy. Wieniec zwycięstwa w zapasach ręcznych przyznano Karosowi, potomkowi Heraklesa, który pokonał Odyseusza. Nie rozstrzygnięta została walka na pięści między Egipcjaninem Arejosem, pochowanym w Koryncie, a Epejosem. Dla pankrationu nie wyznaczają tu żadnej nagrody. W wyścigach pieszych nie pomnę, kto zwyciężył. Spomiędzy poetów górą nad wszystkimi był Homer, przyznano jednak pierwszeństwo Hezjodowi. Jako nagrodę dano wszystkim po wieńcu, uwitym z piór pawich.

Ledwo skończyły się igrzyska, gdy oto doniesiono, że zbrodniarze pokutujący za swe winy w Krainie Występnych, skruszywszy pęta i rozpędziwszy dozorców, ciągną na wyspę pod wodzą Falarisa z Akragantu, Egipcjanina Busirisa, Traka Diomedesa, Skejrona i Pitiokamptesa[31].

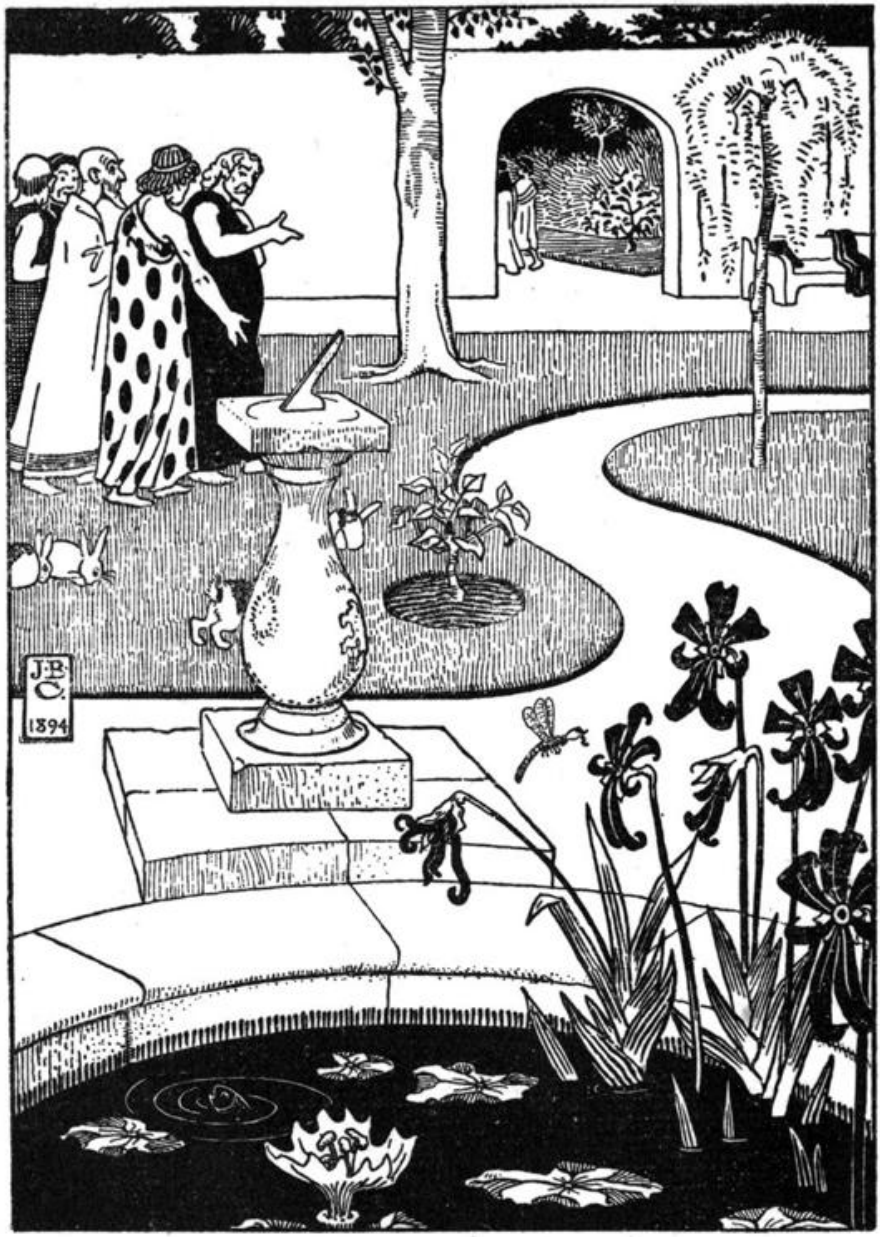

Na wieść o tym kazał Radamantys zająć stanowisko nad brzegiem hufcowi herosów pod wodzą Tezeusza, Achillesa i Ajasa Telamońskiego, który już był odzyskał rozum. Oba wojska starły się ze sobą, a dzięki cudom waleczności, jakich dokazywał Achilles, zwyciężyli herosowie. Potykał się tam i Sokrates, na prawym stojąc skrzydle, o wiele mężniej niż za życia w bitwie pod Delion, gdy bowiem nieprzyjaciel nadciągał, ani nie uciekał, ani nie pobladł na twarzy. W uznaniu tego dano mu też później, jako nagrodę za męstwo, piękny, ogromny park na przedmieściu, który nazwał Akademią

umarłych, i gdzie, zwołując swych zwolenników, filozoficzne prowadził z nimi pogwarki.

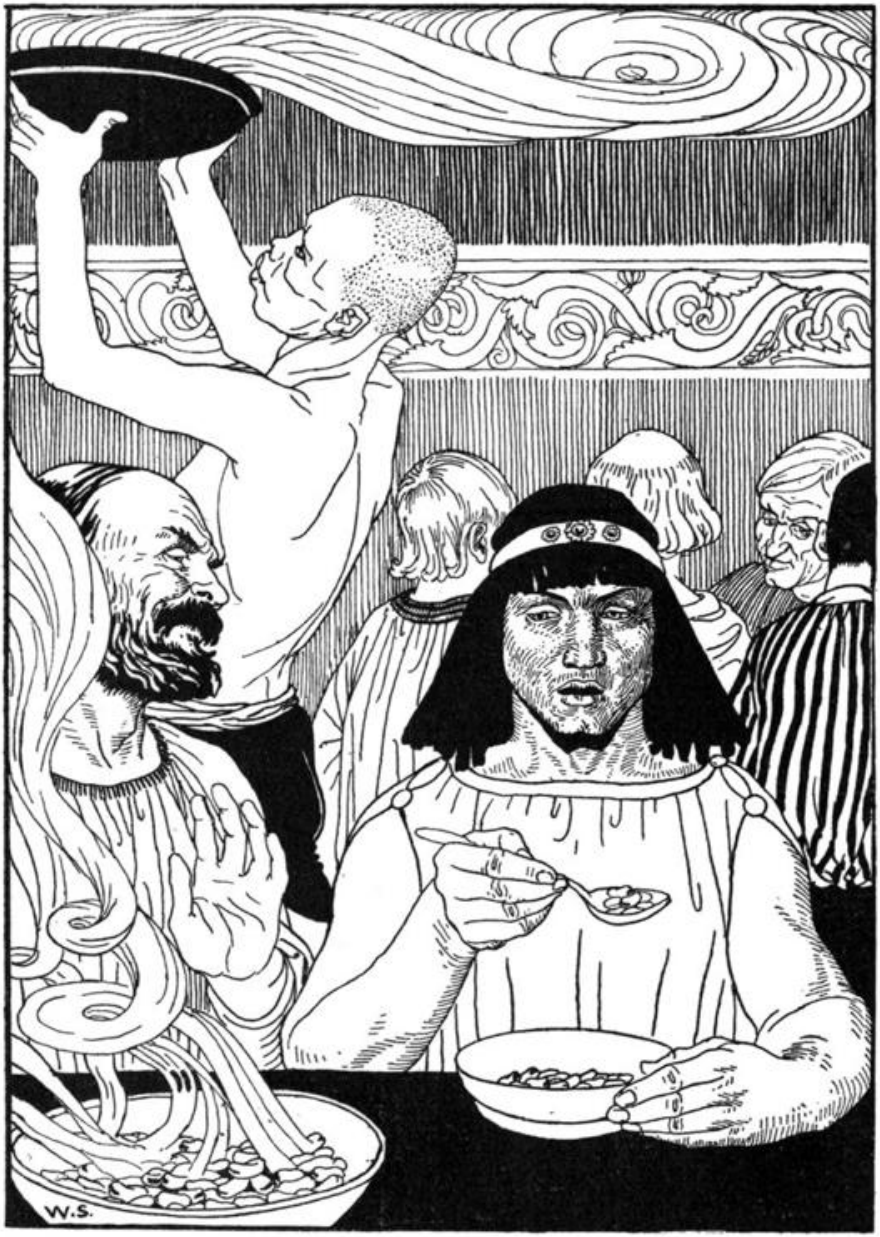

Rozgromionych zakuto w kajdany i na sroższe jeszcze wydano męki. I tę walkę opisał Homer i na odchodnym ofiarował mi poemat z poleceniem, abym go zaniósł ludziom mieszkającym na naszym świecie. Niestety, postradałem go później wraz z innymi pamiątkami. Początek poematu był następujący:

Teraz mi, muzo, opiewaj walkę umarłych witeziów…

Następnie nagotowano grochu32, jak to tutaj jest zwyczaj robić po szczęśliwym zakończeniu wojny, i uroczyście obchodzono święto zwycięstwa, w którym wszyscy brali udział: tylko Pitagoras, zawzięty wróg grochu, siedział na uboczu, nie chcąc ani tknąć tej potrawy.

Minęło sześć miesięcy. W połowie siódmego zaszedł nadzwyczajny wypadek. Kinyras, syn Skintarosa, chłopak rosły i urodziwy, już od dłuższego czasu durzył się w Helenie, a i ona wyraźnie po uszy była zakochana w młodzieniaszku, bo i mrugali na siebie nieraz przy biesiadzie, i przypijali do siebie, i wyszedłszy z sali, przechadzali się brzegiem lasu. Wreszcie Kinyras, nie mogąc już rady dać sobie od tych amorów, umyślił uprowadzić Helenę i uciec razem z nią. I ona także była tej samej myśli, to jest żeby umknąć na jedną z pobliskich wysp, bądź to do Korczyc, bądź do Serowej. Do spisku wciągnęli już od dawna trzech największych śmiałków spomiędzy moich druhów. Ojcu nie pisnął Kinyras ani słówkiem o tej sprawie, będąc przekonany, że by mu plany pokrzyżował. Upatrzywszy sobie sposobną chwilę, przystąpili do wprowadzenia swych myśli w czyn. Pod osłoną nocy — mnie wtedy nie było na miejscu, gdyż spałem w najlepsze w sali biesiadnej — nie spostrzeżeni przez nikogo, czmychnęli co żywo, zabrawszy z sobą Helenę. O północy ocknął się Menelaos, a skoro zobaczył pustą łożnicę, narobił krzyku, po czym z bratem swoim poszedł do króla Radamantysa. O świcie doniosły straże, że widziały w znacznej odległości okręt. Radamantys wsadził natychmiast na galerę, zbudowaną z jednej kłody asfodelu, załogę złożoną z pięćdziesięciu herosów i kazał im puścić się w pogoń za zbiegami. Pędząc raźno, doścignęli ich i przytrzymali koło południa niedaleko Serowej, właśnie w chwili, kiedy mieli dotrzeć już do mlecznego miejsca na oceanie; o włos był by im się z rąk wymknęli. Zabrany statek przykuto łańcuchem różanym do własnego i puszczono się z powrotem. Helena płakała i ze wstydu zasłaniała twarz kwefem; Kinyras i jego pomocnicy, zapytani przez Radamantysa, czy nie mają jeszcze jakich wspólników, skoro odpowiedzieli, że nie, z więzami na członkach, knutem ślazowym oćwiczeni, odesłani zostali do Krainy Występnych. Zapadła również uchwała, skazująca nas resztę na przedterminowe wydalenie z wyspy, mogliśmy pozostać tylko do następnego dnia. Och, jakże lamentowałem, jak gorzko płakałem, gdy mi przychodziło porzucić tę tak szczęsną krainę i puścić się znowu na tułaczkę. Herosowie pocieszali mnie, perswadując, że za parę lat powrócę do nich, i pokazywali mi już teraz krzesło honorowe, przeznaczone dla mnie tuż obok najznamienitszych.

Udałem się następnie do Radamantysa i molestowałem go, żeby mi wyjawił przyszłe moje losy i pouczył co do żeglugi. Rzekł, że wrócę do ojczyzny po długiej tułaczce i mnogich niebezpieczeństwach,

ale kiedy, tego już nie chciał powiedzieć. Natomiast wskazując na pobliskie wyspy — widać ich było pięć, a dalej widniała jeszcze szósta — tłumaczył mi rzecz tak: „Te wyspy w pobliżu, na których, jak widzisz, mnogie goreją ognie, są to Wyspy Występnych; tamta szósta to Kraina Snów. Poza nią leży Wyspa Kalypsony, ale tej nie możesz stąd dojrzeć. Skoro ją miniesz, dostaniesz się na olbrzymi ląd, leżący po przeciwnej stronie waszego. Po licznych przygodach w tym kraju, po długiej wędrówce wśród rozmaitych i dzikich ludów wrócisz wreszcie na drugi ląd”.

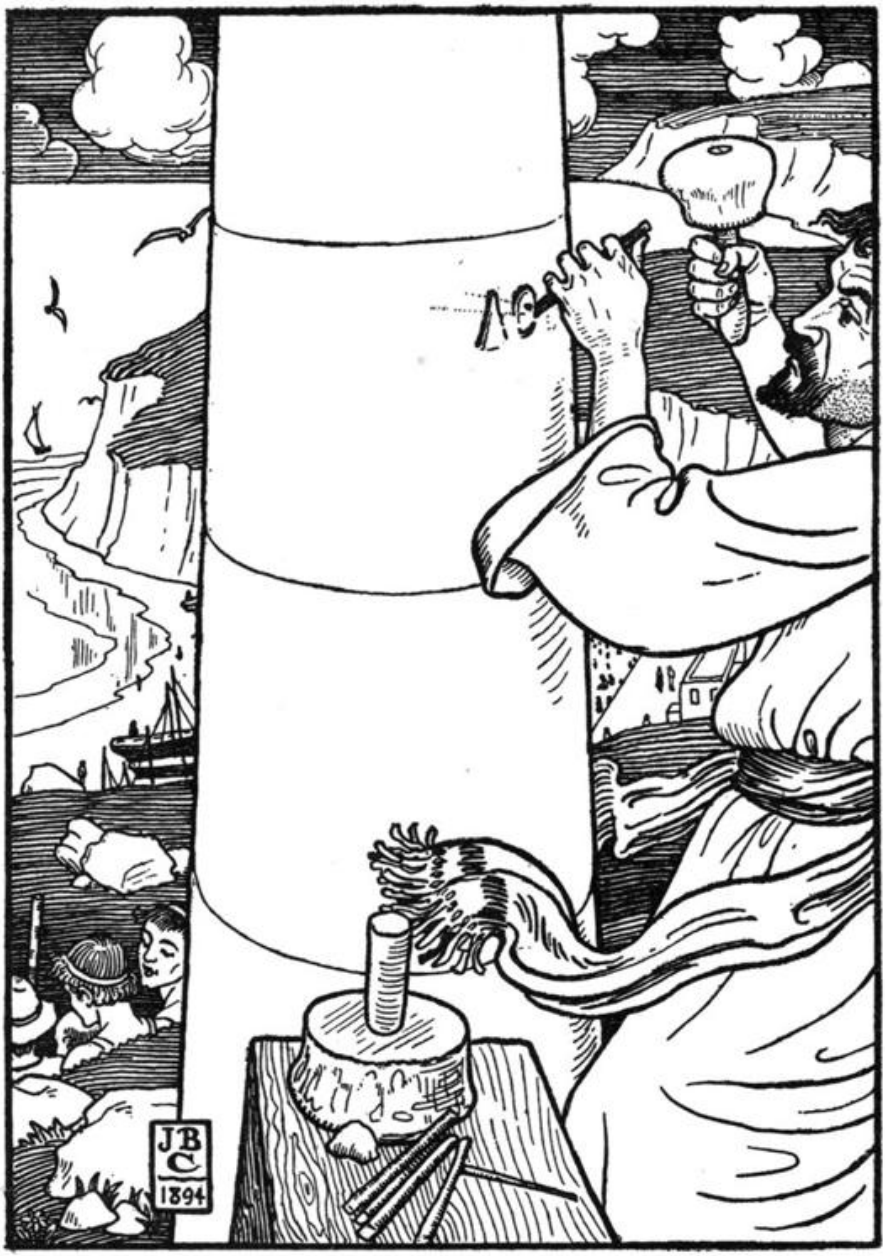

Tu, wyciągnąwszy z ziemi korzeń ślazu, podał mi go polecając, żebym w największych niebezpieczeństwach pomodlił się do niego. Przestrzegł mnie też, abym, skoro przybędę do owego kraju, ani w ogniu nie grzebał mieczem, ani nie jadł łubinu, ani nie zbliżał się do nikogo, kto ma ponad osiemnaście lat33. Dodał, że jeżeli to będę miał na pamięci, to mogę być pewny dostania się na tę wyspę.

Następnie zająłem się przygotowywaniem tego, co było potrzebne do podróży, o zwykłej zaś godzinie ułożyłem się do

biesiady. Nazajutrz poszedłem do poety Homera i prosiłem go, żeby mi napisał jaki dystych. Kiedy go ułożył, kazałem tuż koło przystani wkopać w ziemię słup berylowy i wyryłem na nim ów epigram. Brzmiał zaś tak:

Lukian przez bogów lubiany szczęśliwych zwiedził dokładnie Kraj ten
i wrócił bezpiecznie w ojczyste swe progi.

Jeszcze dzień pozostałem na miejscu, a nazajutrz, odprowadzony przez herosów, wybrałem się w drogę. Wtedy to Odyseusz kryjomo przed Penelopą dał mi list z prośbą, abym go zaniósł na wyspę Ogygię do Kalypsony. Radamantys wysłał razem z nimi przewoźnika Okrętowskiego, aby w razie, gdyby prąd wody zapędził statek do owych wysp, usprawiedliwił nas, że jedziemy za swoimi sprawami, i nie pozwolił aresztować. Zaledwo, mknąc naprzód, wydostaliśmy się z regionów owego wonnego powietrza, uderzył nozdrza nasze szkaradny smród, niby topiącego się razem asfaltu, siarki i smoły, i przykry, nieznośny swąd jakoby piekących się ciał ludzkich. Powietrze było mroczne i mgliste, a z niego kapała smolna rosa. Słychać też było uderzenia knutów i jęki mnóstwa ludzi. Nie przybiliśmy do żadnej wyspy, prócz jednej, która tak wyglądała: cała wkoło była stroma i urwista, nastroszona sterczącymi głazami, bezdrzewna i bezwodna. Wdrapawszy się na nią z trudem, pięliśmy się wśród ohydnej tej okolicy ciernistą i ostrokołami najeżoną ścieżyną.

Wreszcie stanęliśmy przed ogrodzoną katownią i przyglądaliśmy się z podziwem temu osobliwemu miejscu; niby bowiem kwiecie strzelały tu wszędzie w górę miecze i ostrokoły, a naokół płynęły rzeki, jedna błotem, druga krwią, trzecia zaś ogniem. Ta ostatnia, ogromna, bezbrzeżna, lała się, jak gdyby fale jej były nie z ognia, ale z wody, piętrzyła się niby morze i niosła w swych nurtach mnóstwo ryb, jedne podobne do głowni, drugie zaś małe, podobne do żarzących się węgli; nazywano je lampkami. Przez wszystkie te rzeki prowadzi jedno ciasne przejście i tu stoi jako odźwierny Ateńczyk Tymon. Przedostawszy się przez nie z pomocą Okrętowskiego, ujrzeliśmy pokutujących mnóstwo królów i prostych śmiertelników, z których tego i owego poznaliśmy. Widzieliśmy też i Kinyrasa, jak powieszony za srom, wędził się w dymie. Przewodnicy opowiadali nam dzieje tych nieboraków i wymieniali winy, za które ponoszą kary. Najsroższe katusze mieli cierpieć ci, którzy za życia szli drogą kłamstwa, i historycy, którzy bawili się w łgarzy; między tymi można było zauważyć Ktezjasza z Knidos, Herodota i wielu innych. Widok ich wlał w moje serce otuchę co do przyszłości, sumienie bowiem nie wyrzucało mi żadnego kłamstwa. Nie mogąc dłużej patrzeć na ten straszny obraz, powróciłem spiesznie na statek, a pożegnawszy się z Okrętowskim, puściłem się w dalszą drogę.

Po chwili ukazała się niedaleko przed nami niewyraźna, mgława Wyspa Snów. Miała ona coś pokrewnego ze snami, bo kiedyśmy się do niej zbliżali, cofała się wstecz, umykała i ustępowała przed nami. Wreszcie udało nam się przecie uchwycić ją i zawinąć do portu nazwiskiem Sen, w pobliżu bramy z kości słoniowej, tam gdzie znajduje się świątynia Koguta. O zmroku wysiedliśmy na ląd i udaliśmy się do miasta. Tu ujrzeliśmy tłumy różnorodnych snów.

Ale najprzód muszę nieco powiedzieć o samym mieście, bo dotąd nikt go nie opisał, a jeden i jedyny autor, który o nim robi wzmiankę, Homer34, nakreślił bardzo niedokładny jego obraz.

Otóż dookoła tego grodu ciągnie się olbrzymi las maków i pokrzyków, a na nich gnieździ się mnóstwo nietoperzy; jest to jedyny „ptak" znany na tej wyspie. W pobliżu przepływa rzeka, zwana tutaj Nocny Strug, a przy bramie znajdują się dwie krynice: jedna zowie się Nieprzebudzalna, druga Całonocna. Miasto otacza wysoki, różnokolorowy mur, barwy tęczy. Bram w nim jest nie dwie, jak podaje Homer, ale cztery, mianowicie dwie prowadzące na Pole Ospałości, jedna żelazna, druga gliniana — tędy przedostają się podobno sny straszliwe, krwawe i okrutne — dwie zaś wychodzą na

port i morze, jedna rogowa, którą myśmy weszli, druga z kości słoniowej. Po prawej ręce, jak się idzie do miasta, wznosi się świątynia Nocy; ta bowiem i Kogut największej doznają tutaj czci. Świątynia tego ostatniego stoi w pobliżu portu. Po lewej ręce widać pałac Snu. Ten bowiem włada tutaj, mając do pomocy dwóch namiestników i gubernatorów: Strachajłę, syna Fujary, i Skarbimira, syna Fantazego.

W środku rynku znajduje się krynica, którą zowią Twarde Spanie, a koło niej dwie świątynie: Złudy i Prawdy. Jest też tutaj wyrocznia, której przewodniczy prorok Antifon, tłumacz snów:

godność tę nadał mu sam Sen.

Co się tyczy snów, to charakter ich i postać są nader rozmaite. Jedne z nich były wielkie, łagodne, urocze, drugie chude, małe, karykaturalne, jedne niby to złote, drugie liche i bez wartości. Znajdowały się między nimi niektóre skrzydlate i o fantastycznych kształtach, inne poprzebierane były jakby na jaki uroczysty pochód za królów, bogów itp. Poznaliśmy kilka takich, któreśmy już dawniej u siebie widzieli; przyszły one do nas i witały się z nami jako ze starymi znajomymi, a zaprowadziwszy do siebie i uśpiwszy tutaj, podejmowały wystawnie i gościnnie, racząc wszystkim, czego tylko nasze serce zapragnęło, i obiecując uczynić nas królami i namiestnikami. Niektóre zawiodły nas do ojczyzny, pokazały nam rodziny nasze i tego samego dnia z powrotem na miejsce przyprowadziły.

Trzydzieści dni i tyleż nocy spędziliśmy tutaj na spaniu i bankietowaniu. Wreszcie zbudził nas straszliwy łoskot gromu; zerwaliśmy się i nabrawszy żywności, odpłynęli. Po trzech dniach przybyliśmy do wyspy Ogygii i wysiedli na ląd. Zanim doręczyłem wzmiankowany list, odpieczętowałem go i odczytałem. Brzmiał on, jak następuje:

> Odyseusz Kalypsonie śle pozdrowienia!
> Donoszę Ci, że kiedym wreszcie od Ciebie odpłynął, burza zdruzgotała mi moją tratwę i że tylko z pomocą Leukotei uratowałem się i dostałem do kraju Feaków. Wyprawiony przez nich do domu, zastałem tutaj mnóstwo gachów umizgających się do mej żony i trwoniących moje mienie. Wymordowałem wszystkich, ale i sam zostałem później zabity przez Telegonosa, syna mojego i Kirki. Obecnie bawię na Wyspie Błogosławionych i z głębi serca żałuję, żem nie został u Ciebie i nie przyjął ofiarowanej nieśmiertelności. Ale przy pierwszej nadarzonej sposobności myślę stąd drapnąć i przybyć do Ciebie.

Taka była treść owego listu, a w końcu dołączona prośba, żeby nas ugościła u siebie. — Uszedłszy kawałeczek od brzegu, znalazłem grotę taką, jak opisuje Homer[35], a w niej zastałem boginię, przędącą wełnę. Skoro list odebrała i odczytała, naprzód chwilę gorzko płakała, potem zaś zaprowadziła nas w gościnę, wspaniale podejmowała i wypytywała o Odyseusza i o Penelopę, mianowicie jak wygląda i czy rzeczywiście jest taka cnotliwa, jak to przechwalał się niegdyś Odyseusz[36]. My dawaliśmy odpowiedzi, o których mogliśmy się spodziewać, że jej przypadną do serca. Wreszcie powróciliśmy na okręt i ułożyli się na spoczynek blisko niego na brzegu.

O świcie ruszyliśmy z silnym wiatrem w drogę. Przez dwa dni

miotała nami burza po morzu, trzeciego spotkaliśmy się z Melonopiratami. Są to dzicy, napadający i rabujący z pobliskich wysp przejeżdżające okręty. Mają oni wielkie statki melonowe, długie na sześćdziesiąt łokci, które sporządzają z wysuszonych melonów, wydrążywszy takowe i wydobywszy miąższ; za maszty służy im trzcina, a za żagle liście melonu. Ludzie ci rzucili się na nas w dwie, silną załogą zaopatrzone łodzie i kilkunastu naszych poranili, ciskając z proc jądra melonów. Gdy tak długi czas walczyliśmy z równym powodzeniem, spostrzegliśmy koło południa Orzechowców, zachodzących Melonopiratom od tyłu drogę. Pokazało się, że to byli wzajemni nieprzyjaciele. Skoro bowiem Melonopiraci spostrzegli ich zbliżających się, dali nam pokój, a natomiast zwrócili się przeciw nim i rozpoczęli bitwę morską.

My tymczasem rozpuściliśmy żagle, pozostawiliśmy walczących na miejscu i dalejże w nogi. Z góry jednak można już było przewidzieć, że Orzechowcy zwyciężą, bo było ich i więcej — mieli pięć galer z liczną załogą — i walczyli na silniejszych statkach. Zbudowane one były z połówek łupin orzechów, a długość każdej takiej połówki wynosiła piętnaście sążni. Kiedyśmy ich z oczu stracili, opatrzyliśmy rannych i odtąd ciągle już na wypadek napadu trzymaliśmy oręż w pogotowiu. I dobrześmy zrobili. Bo nie zaszło jeszcze słońce, gdy z pustej wysepki zabiegło nam drogę jakich dwudziestu ludzi, jadących na olbrzymich delfinach. Byli to rozbójnicy. Delfiny niosły ich pewnie, a wierzgały i rżały jak rumaki. Kiedy już blisko nas byli, rozstąpili się i poczęli nas atakować z dwu stron suchymi mątwami i oczami raków. Gdyśmy ich jednak poczęstowali strzałami i kopiami, nie dotrzymali placu, lecz poranieni, w znacznej części, uciekli na wyspę.

Około północy, płynąc wśród ciszy morskiej, najechaliśmy przypadkiem na ogromne gniazdo zimorodka, mające obwodu sześćdziesiąt staj. Płynął na nim zimorodek siedzący na jajach, wcale nie mniejszy od swego gniazda. Zerwawszy się do lotu, wzniecił szumem skrzydeł taki wiatr, że nasz statek mało co się nie wywrócił, i uciekł, wydając jakiś żałosny głos.

Skoro zaświtało, wysiedliśmy z okrętu i przyglądali się temu gniazdu; było ono podobne do potężnej tratwy, zbudowane z olbrzymich kłód drzewa. W gnieździe leżało pięćset jaj, jedno w drugie większych rozmiarów niż beczka chijska. W środku tych jaj widać już było młode, które piszczały. Rozrąbaliśmy toporami jedno z tych jaj i wydobyli nagie pisklę, silniejsze niż dwadzieścia sępów.

Kiedyśmy już upłynęli jakie dwieście staj od owego gniazda, poczęły się dziać cuda i dziwy niesłychane. Rzeźbiona gęś na tyle[37] okrętu zaczęła machać skrzydłami i gęgać, łysa głowa sternika

Skintarosa pokryła się bujnym włosem, a co najdziwniejsze, maszt najeżył się gałęziami i konarami, a te okryły się owocami, mianowicie figami i gronami winnymi, jeszcze niedojrzałymi[38]. Łatwo zrozumieć, jak przerażeni byliśmy, patrząc na to wszystko, i jak gorąco modliliśmy się do bogów, żeby te dziwne zjawiska od nas odwrócili.

Upłynęliśmy niespełna pięćset staj, gdy na horyzoncie zarysował się gęsty bór sosen i cyprysów. Sądziliśmy, że to jest ląd, a to było w rzeczywistości bezdenne morze, zarosłe drzewami bez korzenia. Mimo to drzewa stały nieporuszone, prosto, jakby po wierzchu fali płynęły.

Kiedyśmy się do nich zbliżyli i dokładnie wszystkiemu przyglądnęli, zmiarkowaliśmy, że się w trudnym znajdujemy położeniu. Między drzewami przepłynąć było niepodobieństwem, gdyż stały gęsto, prawie jedno tuż przy drugim, a i cofnąć się nie było rzeczą łatwą. Cóż tedy robię? Wspinam się na najwyższe drzewo i rozglądam po okolicy. Przekonałem się, że las ten rozciąga się na pięćdziesiąt lub nieco więcej staj, a za nim rozlewa się znowu morze. Postanowiliśmy tedy wyciągnąć nasz okręt na gęste szczyty drzew i

spróbować go sprowadzić na drugie morze. I tak też uczyniliśmy. Uwiązaliśmy go na grubej linie, a wdrapawszy się na drzewa, wyciągnęliśmy go nie bez trudu do góry i umieścili na gałęziach; następnie rozpięliśmy żagle i pchani wiatrem, płynęliśmy jakby po morzu. Wtenczas to przypomniał mi się wiersz poety Antymacha[39], który gdzieś tam powiada:

A gdy tak lesistymi pchali nawę szlaki…

Przedarłszy się wreszcie przez ów las, dostaliśmy się nad wodę; tu zepchnęliśmy statek na dół i sunęli po czystej i przejrzystej toni, i zatrzymaliśmy się dopiero nad ogromną przepaścią, utworzoną przez rozstąpienie się fal, a podobną do tych, które nieraz na lądzie trzęsienie ziemi tworzy. Gdyby nie to, żeśmy jeszcze na czas zwinęli żagle, byłby nasz okręt stoczył się w tę otchłań. Spoglądając w dół, ujrzeliśmy pod sobą rozpadlinę, głęboką na jakie tysiąc staj, okropną i zdumieniem przejmującą, gdyż fale stały nieporuszone, jakby je kto przeciął. Kiedyśmy się naokół rozglądali, spostrzegliśmy w niewielkiej odległości most, utworzony z wody, zawieszony nad ową przepaścią i łączący powierzchnie obu mórz. Przypędziliśmy doń statek wiosłami i nadspodziewanie, z niewysłowionym trudem udało nam się przedostać na drugą stronę.

Znaleźliśmy się teraz na spokojnym morzu, koło niezbyt wielkiej, dostępnej i zaludnionej wyspy; zamieszkiwali ją dzicy Wołogłowowie, uzbrojeni rogami tak, jak to u nas przedstawiają Minotaura. Wysiadłszy na ląd, poszliśmy naczerpać wody i, jeśliby się dało, nabrać żywności, bo już nam jej zaczęło brakować. Wodę znaleźliśmy w pobliżu, ale żywności nic a nic; z dala tylko dolatywał do uszu naszych potężny ryk. Sądząc, że tam musi się znajdować stado wołów, puściliśmy się naprzód i natknęliśmy się na ludzi. Skoro nas zobaczyli, puścili się w pogoń za nami i porwali nam trzech druhów — my reszta uciekliśmy na morze. Następnie jednak, aby pomścić śmierć przyjaciół, schwyciliśmy za oręż i uderzyli na Wołogłowów, dzielących się mięsem zabitych. Z rozgłośnym krzykiem gnaliśmy ich przed sobą, około pięćdziesięciu położyli trupem, dwóch zabraliśmy żywcem do niewoli, a następnie cofnęliśmy się, wiodąc z sobą jeńców. Żywności atoli nie znaleźliśmy wcale. Towarzysze moi głosowali za tym, żeby jeńców zarżnąć, ale ja nie chciałem się na ten projekt zgodzić i zakutych w pęta trzymałem pod strażą. Przyszli wreszcie posłowie Wołogłowów, ofiarując okup za jeńców. Prośbę tę swoją wyrazili kiwaniem głową i żałosnym rykiem. Jako okup złożyli masę serów, wędzone ryby, cebule i cztery jelenie, z których każdy miał trzy nogi: dwie z tyłu, jedną z przodu, powstałą przez zrośnięcie się obu. Po złożeniu tego okupu wydaliśmy jeńców, a zabawiwszy jeden dzień na miejscu, popłynęliśmy dalej.

Już też zaczęły pokazywać się ryby, ptaki i inne przedmioty, zwiastujące bliskość lądu stałego. Niebawem ujrzeliśmy ludzi, w dziwny sposób żeglujących po morzu, byli bowiem sobie żeglarzami i okrętami zarazem. Opowiem, jak się w tym względzie urządzali; leżeli na wznak na wodzie i końce żagli, rozpiętych na wyprostowanych nieborakach (a mają ogromne), trzymali rękoma i z pomocą wiatru wpadającego w płótna płynęli sobie spokojnie. Dalej widzieliśmy innych, siedzących na korkach, do których zaprzęgnięto po dwa delfiny; popędzali je, kierując lejcami, a one ciągnęły owe korki.

Ludzie ci żadnej nam nie robili krzywdy ani też przed nami nie uciekali, ale spokojnie sobie jechali obok, przyglądając się z podziwem ze wszystkich stron naszemu statkowi.

Już samym wieczorem przybyliśmy do niewielkiej wysepki. Zamieszkana ona była przez niewiasty, które, jak nam się zdawało, mówiły po grecku. Kobiety te, piękne i młode, ubrane zupełnie jak hetery, w długich powłóczystych chitonach, przyszły do nas i poczęły nas witać i pozdrawiać. Wyspa owa nazywała się Kabalusa, a stolica jej Hydramardia40. Niewiasty te zabrały nas ze sobą, poprowadziły każda do swego mieszkania i ugaszczały. Przystanąwszy nieco, bo mi coś serce niedobrze wróżyło, jąłem się uważniej rozglądać dookoła i spostrzegłem mnóstwo kości i czaszek ludzkich. Zrobić krzyk z tego powodu, zwołać druhów i chwycić za broń — to, zdaniem moim, nie prowadziłoby zupełnie do celu. Wydobyłem tylko ślaz i modliłem się z głębi duszy do niego, aby mnie z grożącego wyratował niebezpieczeństwa. Pa chwili, gdy mi moja gospodyni posługiwała, zauważyłem, że nie ma nóg ludzkich, tylko kopyta ośle. Dobyłem też zaraz miecza, pochwyciłem ją i zakułem w pęta, po czym zacząłem wypytywać o wszystko. Jakkolwiek niechętnie, wyznała jednak, że są morskimi kobietami, że nazywają się Oślonogami i żywią się ciałem podróżnych, których w moc swą dostaną. „Mordujemy ich zaś — mówiła — upoiwszy i uśpiwszy w naszych ramionach”.

Skorom to usłyszał, zostawiłem ją skrępowaną na miejscu, a sam wyszedłszy na dach, zacząłem krzyczeć i nawoływać druhów. Kiedy się zbiegli, wykryłem im wszystko, pokazałem kości i zawiodłem do mojej branki. Ta w jednej chwili przeistoczyła się w wodę i znikła. Wbiłem przecież dla próby miecz do wody, a ta zmieniła się w krew.

Powróciliśmy spiesznie na statek i zabrali się w drogę. Skoro dzień zajaśniał, ujrzeliśmy przed sobą ląd i zaraz pomyśleliśmy, że to musi być ten, który leży naprzeciw zamieszkanego przez nas. Upadłszy

na kolana i pomodliwszy się, poczęliśmy układać plany na przyszłość. Jedni byli za tym, żeby tylko na chwilę wysiąść na ląd i natychmiast wracać tam, skądeśmy przyszli, drudzy radzili statek na miejscu zostawić, zapuścić się w głąb lądu i zbadać, co za jedni są ci, co go zamieszkują. Gdyśmy nad tym medytowali, zerwała się straszliwa burza, rzuciła naszą galerę o brzeg i roztrzaskała. Z największą biedą, zabrawszy broń i co się jeszcze zebrać dało, uratowaliśmy się, puszczając się wpław ku brzegowi.

Otóż i wszystko, co mi się przydarzyło aż do chwili przybycia na drugą półkulę na morzu, w czasie żeglugi na wyspach, w powietrzu, w brzuchu wieloryba, a skorośmy się z niego wydobyli, u Herosów, u Snów, a wreszcie u Wołogłowów i Oślonogów. Przygody na nowym lądzie opiszę w następujących księgach[41].

Przełożył i przypisami opatrzył
Konstanty Bogucki

Notatki

[←1]

Pisma Ktezjasza i Jambulosa zaginęły, tak samo pisma Antoniusza Diogenesa, którego powieść, Pt. *Cudowne przygody poza Tule* była według Fociusza (*Bibl cod* 166, 111 b) źródłem opowiadania Lukiana.

[←2]

Według scholiasty złośliwa uwaga pod adresem *Rzeczypospolitej* Platona X 614 A

[←3]

Zob. Herodot IV 82, stopa Heraklesa miała był długa na dwa łokcie.

[←4]

Zob. *Odyseja* IX 322 n.

[←5]

Iliada XVI 459

[←6]

Istota rzeczy w tym, ze wyraz χομήτης (stąd nasza kometa) oznacza istotę z długimi włosami

[←7]

Żartobliwa parodia szaty z drzewa, tj. z bawełny; por. Herodot VII 65

[←8]

Chmurokukułkowice — miasto u krainie ptaków, znane z komedii Arystofanesa Pt. *Ptaki*

[←9]

Por. Dialog Lukiana *O bogini syryjskiej*, rozdz. 28.

[←10]

Por *Iliada* V 4

[←11]

Momos, bożek szyderstwa i przygany, żądał, by woły miały rogi nie na czole, ale pod oczami; chciał bowiem, by zwierzę widziało, co nimi robi.

[←12]

Mleczko — to Galatea (od rzeczownika γάλα — mleko), Serowiecka — to Tyro (od rzeczownika τψρός — ser)

[←13]

Mówi o tym Herodot w ks III 113

[←14]

Hipokrates z Kos, słynny lekarz grecki z V w przed n.e.

[←15]

Ciemierzyca była środkiem leczącym szał, por Horacy, *Sal* II 3, 82

[←16]

Hipolitę

[←18]

Por. *Rozmowy zmarłych*, rozdz. 25

[←19]

Dowcip językowy lepiej występujący w oryginale Lukian przeciwstawia drzewom cienistym drzewa ήμερα
(jakby przymiotnik ten etymologicznie wywodził z rzeczownika ήμέρα — dzień) drzewa słoneczne.

[←20]

Stezychoros ubliżył Helenie, za co Kastor i Polluks ukarali go ślepotą Po odwołaniu obrazowych słów (słynnej
palmodii, z której zachowało się jeszcze parę słów u Platona, *Fedros* 243) odzyskał wzrok

[←21]

Anacharsis, książę tracki, odwiedził Ateny z początkiem VI w przed n.e.

[←22]

Zamolksis, Trak, który był sługą Pitagorasa na Samos Przyswoił sobie jego nauki i po ucieczce przekazał je
ziomkom Trakowie ubóstwili go po śmierci.

[←23]

Arystyp, słynny filozof, założyciel szkoły hedoników w Cyreme (V w przed n.e.)

[←24]

Chryzyp, słynny stoik z III w przed n.e.

[←25]

W dialogu pt *Wyprzedaż żywotów* jest inna jeszcze złośliwa wzmianka o szaleństwie Chryzypa

[←26]

Akademicy twierdzili, ze nie ma miernika, przy którego pomocy można by odróżnić sąd fałszywy od
prawdziwego

[←27]

To właśnie znaczy greckie imię pospolite δμηρος

[←28]

Zenodot i Arystarch, słynni filozofowie i krytycy z czasów aleksandryjskich.

[←29]

Ponieważ Pitagoras w jednej ze swych wędrówek miał być także trojańskim Euforbosem, który ranił Patroklosa.

[←30]

Skutkiem skoku do krateru Etny.

[←31]

Falaris, tyran Akragas z VI w. przed n.e., stał się głośny z powodu swego okrucieństwa; Busiris, syn Posejdona i król Egiptu, czynił ofiary z obcych; Diomedes Trak karmił swoje konie ludzkim mięsem, a Skejron i Pitiokamptes byli okrzyczanymi rozbójnikami.

[←32]

Jest to aluzja do Pyanepsja, ateńskiego świata grochu.

[←33]

Pierwszy zakaz odpowiada prawdzie (por Plutarch *Moralia* 12 E), dwa inne są parodiami

[←34]

Odyseja XIX 560 nn

[←35]

Odyseja V 55 nn.

[←36]

Odyseja V 201 nn.

[←37]

W starożytności głowa gęsi była ozdobą umieszczaną na przedzie lub, jak tutaj, na tyle okrętu

[←38]

Parodia zdarzeń opisanych w hymnie Homeryckim VII 38 na cześć Dionizosa

[←39]

Antymach z Kolofonu, poważny poeta epiczny, autor *Tebaidy* (żył ok. 400 r. przed n.e.)

[←40]

Obie nazwy nie znane w greczyźnie i niejasne

[←41]

Jeden z przepisywaczy rękopisu na marginesie tego zdania zauważą, że jest to ze wszystkich dotychczasowych kłamstw Lukiana największe